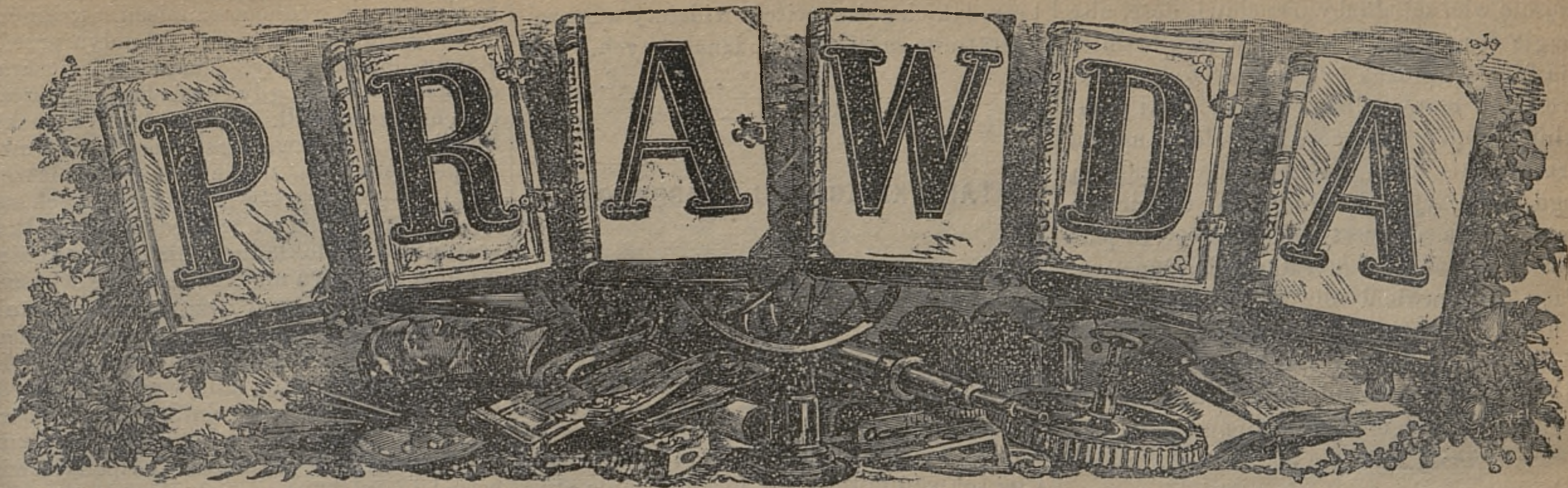
№ 14. Warszawa, dnia 7 Kwietnia (26 Marca) 1883 r. Rok III.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem) W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu. Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych. Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7. Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Amnestyonowani.

Społeczeństwo ma najsłuszniejsze prawo wymagać, ażeby ludzie, którzy kierują jego przekonaniami i wytykają drogę jego życiu, byli—uczciwi, uczciwi w najzwyklejszem tego słowa znaczeniu, bez wyjątkowych nawet poświęceń i ofiar. Bo cokolwiek powiedzieć można o dwustronności człowieka, która — jak wiadomo ze znanych przykładów historycznych — pozwala inaczej mówić a inaczej czynić, nie ulega wątpliwości, że dwu tych sfer nie rozdziela przepaść, lecz pomimo granicy łączą się one i wpływają na siebie wzajemnie. Niepodobna przypuścić, ażeby wola praktyczna, działająca w kierunku ujemnym, pozostawała całkiem niezależną od najwznioślejszych zasad teoretycznych i ażeby na odwrót one nie robiły jej ustępstw. Żadna dziedzina pracy nie posiada ideałów, lecz ludzi; niezbędnem jest wszakże, ażeby każda posiadała ludzi najgodniej odpowiadających jej zadaniom. Jeżeli zaś kulawy nie powinien być baletnikiem, złodziej — kasyerem, a łapownik—sędzią, tedy chyba nie przekroczymy miary żądań sprawiedliwych, twierdząc, że moralista publiczny, który karze błędy i strzeże cnót społeczeństwa, powinien rachunki swego własnego sumienia utrzymywać w wielkim porządku. Słyszymy nieraz frazes: łotr, ale pięknie pisze! Rezultat? Uczniowie takiego mistrza — jeśli mają ku temu skłonność, innymi wpływami nieokiełznaną — także są łotrami, ale pięknie piszą. W duchu tej teoryi stare przysłowie uczy „nie patrzeć ną to, co ksiądz robi, lecz na to, co mówi." Pomimo jednak odwiecznego nawracania ludzi do tej maksymy, nie przestaną oni nigdy, wysłuchawszy, co ksiądz mówi, naśladować to, co robi. Chłop wyśpi się podczas pięknego kazania, a gdy wróci do domu, pójdzie nieraz za śladem czynów proboszcza — dobrych lub złych.

Niezaprzeczonym i machinalnie powtarzanym stało się pewnikiem, że prasa nasza jest „czysta" i że jakieś niedalekie koncylium ustanowi osobne święto na cześć jej niepokalania. A jednakże w tym dogmacie kryje się nietylko złudzenie, ale nawet świadome kłamstwo. Pomimo bowiem bardzo znacznego zastępu pisarzów rzeczywiście zacnych i godnych, prasa nasza nie jest bezwzględnie czystą, gdyż obejmuje w swem gronie ludzi, którzy bardzo niezasłużenie tytuł uczciwości z innymi dzielą. Ich winy nie są głęboko zakopaną tajemnicą, lecz całkiem obnażone obiegają w prywatnych rozmowach cały świat literacki. Gdyby świat ten posadził na cenzurowanem wielu swoich kolegów, zdumiony ogół usłyszałby: p. A. wyłudził pieniądze od starej litwinki i pokwitował ją cynicznym śmiechem bez rewersu; p. B. wynajmował swoje pióro zarówno do reklam, paszkwilów, korespondencyj patryotycznych i antipatryotycznych; p. C. uspokoił się w zapale oszczerczym pod groźbą kija; p. D. za kilka rubli rozsławiał pompy jednego fabrykanta a kasy ogniotrwałe drugiego itd. A nie trzeba zapominać, że wszyscy ci panowie A, B, C, D itd. nie schodzą z kazalnic, z których nauczają naród cnoty, sądzą i karzą innych bardzo surowo!

Za granicą może jest więcej zepsucia w prasie, ma ono jednak przynajmniej tę zaletę, że jest jawnem, szczerem, nikogo w błąd nie wprowadza. U nas występuje ono pod maską obłudy. Najzwyczajniejszy najmita literacki, który częściej zmienia swe zasady, niż księżyc lunacye, za każdym razem ubiera się w togę Katona. I gdyby przynajmniej publiczność nic o tej komedyi nie wiedziała! Ale na nieszczęście ona wie, bo w naszym małym światku taka intryga maskaradowa długo ciągnąć się nie może. Jakiż więc wpływ wywierać mogą najszczytniejsze zasady, takiemi ustami głoszone?

Rzecz dziwna. Rzemieślnik i kupiec, który dopuścił się wykroczenia, traci kredyt lub szacunek w swej korporacyi; wszyscy ponoszą skutki swych grzechów, tylko plamy literatów natychmiast się wywabiają. Ogłosiliśmy sobie powszechną amnestyę, która przebacza wszelkie winy, o ile sądu państwowego unikną. Nie chcemy wyciągać trupa z grobu, ale wyznamy, że takiej tolerancyi, jakiej używał zmarły przed kilku laty jeden ze starszych literatów, nie udzielonoby nikomu w żadnym kraju. Człowiek ten sprzedawał po kryjomo narzędzia, książki, nawet dachy z zakładów publicznych, popełniał najbezczelniejsze nadużycia i mimo to nie przestał być ani na chwilę szanowanym, posiadał do końca życia prawo do najwyższych „epitetów zdobiących." Doprawdy trudno się dziwić pesymiście, jeżeli patrząc na takie fakty, zapyta: czy warto być uczciwym w świecie, w którym cnota z występkiem jednako ważą? Jaka różnica zewnętrzna zachodzi między nieposzlakowanym pisarzem a amnestyonowanym przestępcą? Że w literaturze rozwiniętej mogą się znaleźć jednostki liche, to nic dziwnego; ale co jest nietylko dziwnem, ale i bardzo smutnem, to owa równość wszystkich wobec szacunku. Czy przy takiej równości mogą się wyrabiać charaktery prawe, czy one znajdą pobudkę do walki? Czy niecnota dostrzega jakiś dla siebie hamulec? Broi z niecmylnem przekonaniem, że prędzej czy później wszystko zostanie jej darowanem bez pokuty, bez kary, nawet bez zobowiązania się do poprawy. Trzeba tylko spełnić jeden, bardzo lekki warunek: „stawać na straży wiary" i upominać się „o szczęście narodu." Mniejsza o to, czy owemu „stawaniu na straży wiary" w słowie odpowiadają czyny; mniejsza o to rów-

nież, czy przeszłe życie apostoła daje rękojmię wiernej służby narodowi, dość, aby ciągle z ust wylatywały pewnego brzmienia frazesy. Można być najgrubszym, praktycznym materyalistą, można setki przewinień popełnić przeciwko ogółowi, można przez jakiś czas walczyć pod chorągwią jego nieprzyjaciół, wszystko to nic nie przeszkadza do uzyskania amnestyi i piastowania godności moralnego kapłaństwa. Tacy ułaskawieni nie od dziś podnoszą u nas głowę, którą by nisko schylić powinni, ale coraz bardziej przykonywają, że im mniej mają prawa do szacunku, tem bezczelniej o niego się upominają. *Audaces fortuna juvat.* I ci więc panowie nie proszą nikogo o przebaczenie, lecz śmiało rozpychają łokciami wszystkich, którzy im na drodze staną; nikt ich nie zatrzyma, nikt do odpowiedzialności nie pociągnie, nikt dawnych win nie przypomni. Podobało im się grać rolę uczciwych i grają, może do jutra, może za tydzień lub rok ją porzucą, może do innej trupy się zaciągną, jeśli ta przedstawi lepsze warunki. A gdyby ją musieli opuścić i znowu na scenę moralizatorską powrócić — i wtedy amnestyę otrzymają niezawodnie.

Nie posuwamy się do przesady, nie twierdzimy, ażeby tacy rycerze roili się w naszej prasie gęsto. Rzeczywiście stanowią oni w trzech jej odłamach garstkę nieliczną, ale jeżeli frazes o czystości naszego dziennikarstwa nie ma być czczą przechwałką, lecz prawdą, tedy powinniśmy ograniczyć stosowaną dotąd amnestyę. Dawać jaką nagrodę zasłużonym— zgoda, ale jako tani prezent każdemu, kto jej chwilowo potrzebuje — nie. Bywamy tak surowi względem innych klas społecznych, że bądźmy chociaż sprawiedliwi względem siebie. Jeśli każdy charakter nazwiemy „czystym“, to przez to prasa nasza nie stanie się jeszcze wcale czystą. Będzie ona taką tylko wtedy, gdy kierownicy opinii, gdy stróże moralności publicznej będą rzeczywiście zacni, zasadom swoim stale wierni, piórem niekupczący, tacy, jakich rzeczywiście widzimy w naszej literaturze zaszczytnie odznaczonych.

A. H.

TAKTYKA EGOIZMU KLASOWEGO.

I.

Podstawą życia ekonomicznego każdego prawie narodu jest gospodarstwo rolne, mające na celu zaspokojenie najważniejszej sprawy życiowej — potrzeb żołądka. Z tego względu władanie ziemią po wszystkie czasy było kwestyą ogół obchodzącą i od takiego lub innego uregulowania stosunków rolnych częstokroć zależał bieg historyi narodów. Kwestya ta u nas posiada tem donioślejsze znaczenie, że jesteśmy społeczeństwem dotąd prawie wyłącznie rolniczem, że nie posiadamy prawie swojskiej klasy miejskiej, któraby mogła stanowić przeciwwagę dążnościom mieszkańców wiejskich. Nic więc dziwnego, że stała się ona w ostatniej dobie naszego życia niemal „palącą,“ wywołując całę masę zdań, prądów, jak zwykle w takich wypadkach, wzajemnie sprzecznych i wrogich.

W przedmiocie władania ziemią wytworzyły się w naszej literaturze peryodycznej dwa obozy: jeden upatruje zbawienie w t. z. drobnej własności, czyli drobnem gospodarstwie rolnem a w praktyce radby rozparcelować wielkie gospodarstwa na małe i ułatwić włościanom kupowanie osad. Powiadamy *radby*, gdyż prócz dobrej woli i szczerych, jak się spodziewamy, życzeń nic dla poparcia swych idej nie zrobił. Do obozu tego przystąpiła cała prawie nasza postępowa część pracy i liberalnie usposobiona warstwa społeczeństwa.

Przeciwny dąży do podtrzymania wielkich gospodarstw, broni interesów klasy gospodarstwa takie prowadzącej i parcelacyę uważa za szkodliwą dla kraju.

Zachodnia Europa miała niegdyś przed swemi oczyma podobny turniej w tej samej sprawie. W obronie wielkiej własności wystąpili angielscy pisarze, w obronie drobnej — francuscy i belgijscy. Drobnej zarzucano nieekonomiczne użycie kapitału, brak wiedzy, nadmierne i nierachunkowe eksploatowanie ziemi itd. Zarzuty te słuszne w jednem miejscu, w innem okazały się bezzasadnemi. Irlandya przedstawia obraz nędzy, ciemnoty i niezaradności, podczas gdy posiadający jeszcze drobniejsze kawałki ziemi chłop francuski, belgijski lub szwajcarski postawił swe gospodarstwo na stopie wcale nie niższej, od stopy gospodarstw wielkich w tych samych krajach. Pod względem porządku, staranności i dokładnej eksploatacyi ziemi gospodarstwa małe okazały się wyższemi, niż wielkie; pod względem ekonomii kapitału, użycia maszyn, sztucznego nawozu itd. — stały wcale nie niżej od wielkich w tej samej miejscowości. Nawet najdroższe narzędzia rolnicze (jak młocarnia parowa) dziś znajdują się zarówno w wielkim jak i małem gospodarstwie wszędzie, gdzie użycie ich okazało się ekonomicznem. Cała różnica polega na tem, że w wielkich posiadacz sam kupuje takie narzędzia, drobni zaś posiadacze łączą się w spółki*). Prasowanie chmielu np. odbywa się za pomocą wielkich i drogich maszyn. W wielu miejscowościach Flandryi gminy, zajmujące się produkcyą chmielu, zakupiły na wspólny koszt maszyny i pobierają pewien podatek od tych, którzy z nich korzystają**). Fakty z bezpośredniej obserwacyi poczerpnięte i na zasadzie całej masy danych statystycznych wysnute okazały najdowodniej czczość czynionych małym gospodarstwom zarzutów, a co najmniej ich przesadę. To też najbardziej naukowi i bezstronni pisarze stanęli w obronie „drobnej kultury,“ stanął po jej stronie np. taki pisarz, jak J. S. Mill.

Przypomniawszy sobie historyę tej samej kwestyi gdzieindziej, ze zdziwieniem zapytałem siebie po przeczytaniu broszury p. Filipowicza***), czy rzeczywiście jesteśmy w tak odmiennych warunkach istnienia, że u nas objawy ekonomiczne nie przejawiają się pokrewnie z takimiż objawami Europy zachodniej, lecz zawsze stają przed nami w położeniu antypodów. Lecz przeczytawszy szeregi zarzutów,

*) E. Laveleye *Economie rurale de la Suisse et de la Lombardie* str. 71 in.

**) Tenże *Economie rurale de la Neerlaud* str. 212 in. *Economie rurale de Belgique.*

***) *Parcelacya jako program społeczny*, Warszawa 1883 (odbitka z *Gazety Rolniczej*).

STARY... ŻART.

Orkiestra grała walca. W obszernej sali zebrane było prawie całe towarzystwo kąpiące się, pijące wody, bawiące się, słowem wszyscy, których choroba czy nuda zagnała na letni sezon do N. Zabawa dosięgała zenitu. W sali duszno było od licznych lamp, od ognistych ramion, od policzków, jaśniejących niekłamanym rumieńcem. Przez otwarte okna wyglądały z parku liczne głowy widzów i gałęzie drzew, poruszane co chwila tłoczącym się tłumem.

We drzwiach, prowadzących do balowej sali, dwaj bohaterowie kotyliona stali oparci niedbale o ramy drzwi. Piersi ich, przykryte śnieżną bielizną, poruszały się zwolna, akuratnie, szermierze tedy nie byli zmęczeni. Półsenne oczy, znudzenie w twarzach wykazywały, że i do dalszych zapasów stawać nie myślą. Uzbrojeni w *pince-nez* przyglądali się kolejno tańcującym i grającym w karty, przedewszystkiem zaś ziewali, przykrywając usta kapeluszami.

— Pfuj, duszno! Będziesz tańczył?

Zagadnięty wzruszył ramionami pogardliwie.

— Sezon liczny w tym roku.

— Tak, jak na nasze nędzne wody!... „Z towarzystwa“ niema prawie nikogo, sama... *miękina*!

— Może jeszcze przybędą. Wczoraj przyjechał jenerał D. z rodziną.

— Będzie tu dziś?

— Nie sądzę, zresztą... może!

Zamilkli. W tem jeden przypomniał sobie coś bardzo pocieszającego; uśmiechnął się, przygryzając jasny wąsik, i szepnął słów kilka do ucha sąsiada.

— Czy być może? — odrzekł tenże z miłem zdziwieniem. Nic o tem nie wiedziałem!

— Przybyły przed godziną zaledwie, ale... towar już rozpakowany!

Zaśmieli się obaj, podnosząc z lekka brody do góry.

— Czy jest co... pikantnego?

— Hm, zbrakowane egzemplarze, ogródkowe... parę szansonistek... Świecą z daleka. Nie miałem czasu z bliska się przyjrzeć. Zresztą na bezrybiu...

Twarze ich spoważniały; wyprostowani przybrali postawę pełną uszanowania.

Z pod werendy wchodziły dwie młode kobiety; ze stroju i twarzy wyglądały jak bliźnięta, chociaż lepiej poinformowani utrzymywali, że była to matka z córką. Obie szczupłe, małe, świeżutkie blondynki z przymrużonemi oczyma, z włosami pokrytymi pudrem, ciągnęły za sobą po parę łokci niebieskiej materyi; za to na staniki i rękawy nie wystarczyło widocznie. Białe gazowe szale przykrywały niby obnażone plecy i ręce. Przesunęły się z szelestem przez pokój, gdzie grano w karty, a wchodząc do sali, obrzuciły kompetentnym wzrokiem obu — niezwyciężonych.

Za paniami podążał mężczyzna niemłody, wysoki, chudy, *viveur épuisé*, policzki miał żółkłe, zapadłe, cienki, orli nos, włosy ciemne, rozdzielone z tyłu głowy i bardzo akuratnie przyczesane na skroniach, bez zarostu, usta wąskie szczelnie zamknięte; trzymał się prosto, idąc suwał trochę sztywnemi nogami, pomimo to ruchy miał wykwintne, a w całej postawie dygnitarską powagę. W pętlicy fraka kryła się niby orderowa wstążeczka, dość widoczna, żeby wzbudzić należne uszanowanie. Stojący kołnierzyk koszuli podtrzymywał dolną szczękę; jemu to może zawdzięcza dygnitarz szczególniejszy sposób trzymania głowy, niedozwalający spostrzegać niższych od siebie i zupełnie małych, natomiast z zupełną swobodą zwracać się do równych i wyższych. Zatrzymał się we drzwiach: jedną ręką przyciskał kapelusz, drugą próbował szkiełko na nosie umieścić, ale po daremnem usiłowaniu zaniechał pracy i szkiełko zsunęło się po kamizelce.

Gołem okiem obrzucił stojących mężczyzn, z niektórymi zamienił sztywny ukłon, bez uśmiechu, z lekkim marsem na czole. Oparł się ramieniem o drzwi, prawą

wówczas drobnym gospodarstwom czynione, przekonałem się, że są to stare rzeczy, stara bajka, którą się powtarza dla tego tylko, że ją wszyscy znają. Myśl i cel obrony polega zupełnie na czemś innem. Pytanie — kto powinien władać ziemią: czy prowadzący wielkie gospodarstwo potomek karmazynowego szlachcica — dzisiejszy obywatel wiejski, czy też od wieków na swym zagonie pracujący chłop — pytanie to brzmi złowrogiem przeczuciem w ustach tych, co dziś na wyższych szczeblach drabiny społecznej stoją, a są zagrożeni strąceniem z dogodnych, bo uprzywilejowanych faktycznie stanowisk. Wspólność ekonomicznych interesów wytwarza z nich solidarną w dążnościach klasę, a niebezpieczeństwo popycha ją do walki z nowemi zasadami, interesom jej szkodliwemi, do walki w obronie tych interesów i swej egzystencyi. Bardzo słusznie. Każda jednostka w społeczeństwie ma prawo osłaniać przynależne jej stanowisko, a zatem i całej klasie prawa tego odmówić niepodobna. Sam więc bój obronny nie tylko nie jest dla społeczeństwa szkodliwym, ale owszem stanowi podstawę i sprężynę postępu.

Lecz prowadząc walkę w imię swych egoistycznych korzyści, klasa występuje zawsze jako przedstawicielka ogółu, przemawia w jego imieniu i dowodzi tożsamości swych interesów z jego interesami. Grupa ta, stojąca na uprzywilejowanem stanowisku, nie przywłaszcza sobie dogodności swego położenia z uszczerbkiem innych, ale jest to łagodny baranek, dzierżący przywileje w widokach ogółu, bodaj czy nie z wielką dla siebie przykrością. Samolubne pobudki i tło walki maskowanem bywa przez rzekome „poświęcanie swych interesów na ołtarzu dobra powszechnego,“ przez „służenie sprawie narodowej,“ przez „naturalne przewodniczenie narodowi.“

Takie uwagi nasuwa broszura p. Filipowicza. Jest ona głosem pochodzącym z obozu zagrożonych. Szlachta, według zdania p. F., jest to nie *jedna* z klas społecznych, najsłabsza liczebnie i najsilniejsza umysłowo, to nie cząstka całego społeczeństwa, ale jego korona, kwintesencya dobrych jego stron, „naturalna przewodniczka narodu.“ „Niegdyś na własnych jedynie barkach dźwigała losy narodu; dziś... (wprawdzie) pozbawioną została monopolu obowiązków i monopolu korzyści..., ale udziałem jej jest... rola... nie mniej wzniosła, nie mniej święta i nie mniej decydująca o przyszłości, jak niegdyś zasłanianie ludu tego własnemi piersiami przed dzikim najazdem pohańców.“ Postawiwszy na wzniosłym świeczniku przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, autor tak dalej motywuje konieczność utrzymania przy życiu, a nawet podtrzymywania tej klasy. „Uprawianie nauk i sztuk pięknych możliwem się staje wówczas dopiero, gdy człowiek,... pozbywszy się dręczących go trosk o chleb powszedni, uczuwać zaczyna wznioślejsze, idealne potrzeby umysłu i serca, z drugiej zaś posiada dosyć chwil swobodnych dla oddania się zaspokojeniu owych wyższych pragnień.“ „Wtedy dopiero obyczaje łagodniejszemi się stają, ...a natura ludzka staje się bardziej szlachetnieje. Wyższe ukształcenie władz intelektualnych rodzi idee prawa, sprawiedliwości i obowiązku, uczucia zaś te rozlewają się w coraz szersze kręgi...“ „Pojęcie własnego interesu dochodzi do idei obowiązku względem interesów społeczeństwa; przywiązanie do strzechy ojczystej rozwija się w idealną miłość kraju.“ „Wychowanie nowych pokoleń (w tych zasadach)... wszakże to tylko umiejętność, wsparta zasobem materyalnych środków.“ Nie stanie się ono dostępnem dla mas nigdy, bo „chociażby i nadeszły kiedyś owe marzone przez idealistów czasy....“ w których oświata stanie się dla wszystkich dostępną, to i wówczas wychowanie takie „możliwem będzie tylko dla tych, którzy, mając skądinąd zabezpieczone środki egzystencyi, nie potrzebują na chleb powszedni codzienną pracą zarabiać.“

Mając to na względzie autor sądzi, że „zawsze, jak dzisiaj, z pomiędzy wielkich właścicieli rekrutować się będzie czoło inteligencyi, średnie gospodarstwa dostarczą do jej szeregów tylko wyjątków,...a małym... pozostać musi w udziale elementarne jedynie wykształcenie, które „nigdy przodowników cywilizacyi wśród tej klasy“ nie wyda. „Społeczeństwo zaś bez takich pionierów — to absolutny zastój, to bezruch chińskiego narodu.“ „A przodownicy owi dla ziemiańskiej sfery wyrosnąć muszą z niej samej.“ „Zaszczytne owo przodowanie jest i na zawsze pozostać musi udziałem wielkich właścicieli ziemskich.“

Istnienie więc tej klasy leży w interesach całego społeczeństwa, które za jaką bądź cenę powinno ją utrzymać, jeśli nie chce w przyszłości być pozbawionem steru „tej naturalnej przewodniczki,“ „przykładu, jaki gospodarstwa wielkie wywierać mogą i powinny na ogół ludności wiejskiej“ i „owego potężnego wpływu dworów na ciemne i zdemoralizowane dziś masy,“ słowem, jeśli chcą uniknąć „ekonomicznej kraju ruiny i... moralnego zabójstwa“ narodu. Interes cywilizacyjno-moralny nakazuje społeczeństwu podtrzymywać istnienie wielkich posiadaczy, bo bez nich żaden naród „przyszłości przed sobą nie ma.“

(D. n.)

P.

KRYTYCYZM I EMPIRYZM.

Jeden z ostatnich zeszytów *Revue philosophique* zamieszcza obszerny rozbiór dzieła kanadyjskiego uczonego Watsona, porównywającego systemat Kanta z współczesnym empiryzmem angielskim. Ze względu na niepospolitą widocznie wartość książki nie wahamy się, w braku oryginału, z drugiej ręki podać czytelnikowi najważniejsze punkta porównawczej analizy Watsona.

Wywody, za pomocą których autor dochodzi do wniosku, że rzeczy samych w sobie niema, że absurdem jest przeprowadzać linię graniczną między myślą a zewnętrznym światem i uważać je za dwie niezależne od siebie i różnorodne rzeczywistości — są zbyt długie i oderwane, by w krótkiej wzmiance można je było zrozumiale przedstawić. O wiele bardziej za to dostępną i interesującą jest krytyka systematu Spencera. Wykazawszy na metafizyce natury, jakim sposobem Kant przy pomocy kategoryi stwarza stopniowo całą grupę pojęć o świecie, Watson zaznacza, iż Spencer na pozór tą samą postępuje drogą: zaczyna bowiem także od czasu i przestrzeni, ażeby dojść w końcu do pojęcia o sile, lecz że, rozważana zbliska, metoda jego jest całkiem odmienną. Spencer bowiem odrazu przypuszcza objektywne istnienie świata, w takiem samem znaczeniu, w jakiem czynią to ludzie prości

---

nogę trochę naprzód wysunął, z wyciągniętą szyją zaczął się przyglądać tańczącym. Kilka ognistych spojrzeń zwróciło się w jego stronę: zmrużył oczy jak kot, któremu drzemkę przerwano. Zalatywała od niego woń wybornego cygara; z pod rozchylającej się nieco koszuli na piersiach widniał czerwony trykotowy kaftanik i także rękawy wyglądały z pod szerokich mankietów. Zaledwie parę minut zostawał w roli zwykłego widza, gdy dyrektor klubu z kartami w ręku, śpiesząc do sali, potrącał z lekka wszystkich, którzy mu drogę tamowali; nagle spostrzegł dygnitarza, zatrzymał się i nim przemówił, wyciągnął ku niemu rękę z kartami, skłoniwszy się kilkakrotnie. Muzyka zagłuszyła słowa, a tylko tytuł, „jenerała,“ wymówiony dobitnie, obił się o uszy obecnych. Jenerał oddał ukłon, ale wyciągniętych ku sobie kart nie dotknął.

— Niezdrów jestem. Nie mogę służyć panom — odrzekł z powtórnym ukłonem i nie czekając nim odejdzie uprzejmy gospodarz, odwrócił głowę ku sali.

Zmęczone pary wychodziły tłumami, pozycya we drzwiach stawała się niedogodną. Jenerał ustępował, zatrzymując się co chwila, stanął nakoniec w zupełnie bezpiecznem miejscu około pieca, odetchnął i zwrócił się ku karcianym stolikom. Za zbliżeniem się jego, jakby na widok groźnego widma, przy stolikach zapanowała cisza; gracze zsunęli się na brzeżki krzeseł, podnosili się i przysiadali na znak uszanowania; pasowano i wistowano dyskretnie; przed każdem stanowczem słowem zwracano głowę ku niemu z niemem zapytaniem, jak w tym razie postąpiłby szanowny świadek? Ci, przy których stawał, uchylali się, dozwalając mu zajrzeć w karty, podnosili oczy ku niemu dla przekonania się, czy raczył spojrzeć.

Jenerał jakby nie dostrzegał usłużnej gotowości grających; z rękami założonemi za plecy, z brodą opartą na sztywnym kołnierzyku przechodził od stolika do stolika; zatrzymał się chwilowo, ale na karty mało zwracał uwagi, a lustrując grających zdawał się szukać znajomych twarzy. Przy jednym stoliku, gdzie pp. Moll, Żuk, Komor i Żaba ułożyli harmonijną puleczkę, przystanął dłużej: gracze byli mu znajomi, grano trochę poważniejszym kuszem. Uścisnąwszy w milczeniu podane sobie ręce, oparł się dłonią o poręcz krzesła i z głową przechyloną na bok przyglądał się grze przez chwilę. Wnet usłużni goście pospieszyli ku niemu z dwoma krzesłami naraz. Gospodarz zadyszany, spotniały, stanął przed nim powtórnie z kartami w ręku, uśmiechał się z przymileniem, a z oczu mu patrzyło, że kilka lat życia oddalby za to, żeby zgrać pulkę z jego ekscelencyą!

Jenerał spojrzał przez ramię na podane sobie krzesła, potem wzrok w promieniejącą twarz gospodarza, pozwolił mu wysapać się i odrzekł nakoniec:

— Niezdrów jestem... Nie mogę służyć panom — przyczem półbródek zadrżał mu zlekka od tłumionego uśmiechu.

Gospodarz ustąpił, skinął guiewnie na lokaja, ustawiającego świece na świeżo rozłożonym stoliku. Lękając się trzeciego ataku, jenerał obszedł stolik do koła, w drodze zapiął frak, wyjął z kapelusza biały fular i z podniesioną głową, z oczyma utkwionemi we drzwi werendy, wyszedł.

Na progu owinął szyję fularem, nałożył kapelusz i sięgnął po cygaro do bocznej kieszeni.

Obecni już się domyślili, o co mu w tej chwili najwięcej chodziło!

Nie zdążył jeszcze wydostać cygara, a już sześć zapalonych cygar i papierosów, jak sześć luf, zwróciło się w jego stronę. Przyjął pierwsze z brzegu, zapalił swoje i skinąwszy głową, zeszedł po stopniach dzielących werendę od parku. Jasna noc letnia napełniała park szarym zmrokiem. Ulice wyglądały jak tunele o ciemnych, wonnych ścianach, przysłonięte w górze krzyżującemi się gałęziami rozłożystych drzew, przez które mrugały miliony gwiazd, a gdzieniegdzie wśród gałęzi wstydliwe robaczki płonęły jakimś tajemniczem światłem.

Jenerał szedł czas jakiś bezmyślnie z cygarem w ustach, poprawiał rękawiczki, klepał się po żebrach, jakby się chciał

i nauka oddzielona od filozofii; wierzy w realny czas, w realną przestrzeń, w siłę. Gdy tym sposobem wszechświat jest w gotowym stanie przeciwstawiony umysłowi człowieka i przypuszczalnie łatwy do wytłomaczenia, idzie tylko o wyjaśnienie, jak odtwarza się on w myśli. Zagadnienie więc polega nie na zbadaniu stosunku świata rzeczywistego do inteligencyi ludzkiej, lecz na wykazaniu, jak człowiek przy pomocy czucia nabiera o nim wiedzy. Zgodnie z tem, Spencer śledzi powstawanie każdego żywiołu ukształtowanego już świata w myśli ludzkiej.

Lecz zapomina on, że ten świat, wrzekomo realny i gotowy, jest sam dziełem myśli. Gdyby było inaczej, przeciw argumentacyi Spencera nie byłoby nic do nadmienienia. Ale świat, podany przez niego, był mozolnie budowanym przez myśl ludzką, na zasadzie pewnych praw i z zastosowaniem do tego procesu wszystkich kategoryj. Tylko zrozumiawszy genezę świata, myśl może samą siebie zrozumieć, a jeżeli tego nie czyni i przystępuje wprost do gotowego — popełnia sofizmat. Możnaby wprawdzie na to odpowiedzieć, że filozof angielski odwołał się w tym razie do zdrowego rozsądku ogółu i postąpił, jak ludzie prości, którzy nie mącą sobie pokoju pytaniem, ażali świat ten jest tylko złudzeniem, i czy po za inteligencyą ludzką istniałby on także. Atoli na ich świadectwo się powoływać badacz myśli nie ma prawa. Przedmiot ten jest zadaniem czysto filozoficznem i — jednem z najistotniejszych. Uchylać się od niego i wymijać trudności — to niegodne imienia myśliciela.

Oto jak Watson rozbiera Spencerowską genezę myśli.

Z początku mamy czucia, które następują jedne po drugich. „W każdej zmianie świadomości zawiera się stosunek następstwa.“ Porównywając zaś rozmaite jego postacie — przy pomocy procesu uogólniania i abstrahowania — tworzymy sobie pojęcie czasu. Idea przestrzeni wypływa z poprzedniej: gdy bowiem wrażenia kolejne dane nam są w takim porządku, że możemy go odwrócić *) i przyjąć prosty lub odwrotny, wówczas wydają nam się współistniejącemi. A z zestawienia stosunku współistności rodzi się pojęcie przestrzeni. Lecz przyjąć należy jedno z dwojga. Albo czucia powstają u nas następczo, a w takim razie nie mamy prawa porządkowi, w jakim się zjawiają, przypisywać konieczności i nieodwracalności: jest on po prostu przypadkowym — albo uważać go musimy za konieczny i niezmienny i widzieć w nim odtworzenie istotnego porządku rzeczy w świadomości. Lecz w takim razie nie mamy prawa brać za punkt wyjścia zwyczajnych wrażeń; gdyż bezwiednie, lecz stanowczo, wprowadzamy do nich pierwiastek nowy, konieczność czyli przyczynowość; nie dotrzymujemy obietnicy i obracamy się w błędnem kole. co się właśnie zdarza Spencerowi. Oczywiście trzyma on się drugiej alternatywy, gdyż porządek kolejności tylko koniecznością swoją i niezmiennością różni się od stosunku współistnienia. Co zaś do owego mniemanego uogólniania, dzięki któremu jakoby tworzymy sobie pojęcie o czasie i przestrzeni, to aż nadto widocznem jest, że ono nie dowodzi niczego. Nie chodzi o zrozumienie, jakim sposobem nabieramy pojęcia czasu, gdy znamy rzeczy następcze; lecz w chwili, gdy one nam jako takie się przedstawiają, coś dołącza się do wrażenia, coś, co bezwątpienia jednocześnie z niem się ukazuje, lecz co logicznie różni się od niego i przez subtelną analizę powinno być oddzielone. Akt świadomości jest oczywiście czemś innem, niż *związek* między aktami świadomości.

Tak więc Watson stoi po stronie Kanta i wierzy w niezbędność sądów o czasie i przestrzeni *a priori*. Pomijamy zarzuty jego, czynione mechanicznym prawom Spencera i krytyce jego genezy pojęć o ruchu, materyi, sile itp. Zaznaczymy tylko, iż zasadniczą ideą tej polemiki jest twierdzenie, że nie należy mieszać prostego czucia, uważanego jako stan świadomości, a więc zupełnie biernego — z ideą, której ono jest bezwątpienia pierwiastkiem i która jest wytworem czynnego umysłu, spożytkowującego dostarczony mu materyał. Z zarzutem, stawianym empiryzmowi, Watson zwraca się i do samego Kanta. Chociaż bowiem on pierwszy wyświetlił ścisły związek, zachodzący między tem, co umysł odbiera z zewnątrz, a tem, co daje sam w procesie poznania, to jednakże zbyt często oddzielał i odosobniał dwa te elementy. To też teorya Kanta powinna być rozwijaną we wskazanym przez niego samego duchu, tylko że należy iść dalej drogą, której wytknięciem tak wielką pozyskał sobie sławę.

Zdaniem Watsona, nadużywanie rozróżnień logicznych jest przyczyną, że zbyt często zdradzamy skłonność do oddzielania wrażeń surowych, jeśli się tak można wyrazić, bezpośrednio danych, od obrobienia, jakiemu myśl nasza je poddaje. Rozróżniamy zwykle jak gdyby dwa stadya formowania się pojęć. Okoliczność ta zwracała uwagę wszystkich znakomitych krytyków.

Pozwolimy sobie przytoczyć kilka słów Langego w tym samym przedmiocie:

„Nasze pojedyncze wyobrażenia przestrzeni tworzą się dopiero wtedy, gdy się nastręcza doświadczenie — i tylko zdolność do przestrzeniowych wyobrażeń daną jest nam *a priori*. Kanta wprowadzało w błąd aksyomatyczne, lecz fałszywe mniemanie, że duch nasz wrażeniom świata zewnętrznego nadstawia gotowe formy, które z czuciem, jako materyałem doświadczenia, nic mają nic wspólnego.

Manowce, na jakie zszedł Kant przez radykalne oddzielenie zmysłów od rozumu, skomplikowały się jeszcze, gdy przyjął twierdzenie, że forma wszystkich spostrzeżeń musi być gotową w umyśle z góry, podczas gdy materyał zjawisk otrzymuje się z doświadczeniem *a posteriori*. Kant nie powinien był wcale posługiwać się podobnymi podziałami, nie zbadawszy poprzednio, jaką wartość przypisać można datującemu się od Arystotelesa odróżnianiu materyi i formy.

Watson tak silnie piętnuje wynikające z tego nadużycia abstrakcyi nieporozumienia, że dla pojęcia: czucie wynajduje nowy termin *the manifold of sense* — różnorodność zmysłowa. W chwili, gdy ona dochodzi do świadomości, czucie uległo już zastosowaniu praw rozumu. Szematy, kategorye, nie są to rzeczy odrębne pod względem czasu swojego funkcyonowania, nie zjawiają się jedno po drugiem i obok siebie układają. Czucie jest już zszematyzowanem i poddanem kategoryom wcześniej, niż zdołamy to dostrzedz. Jedynie przez abstrakcyę możemy i wreszcie powinniśmy rozróżniać rozmaite pierwiastki, w akcie czucia konkretnym są one nierozłączne. Stajemy się tym sposobem igraszką oderwania, i zamiast rozdzielenia czy-

*) Porównaj Ribota *La psychologie anglaise contemporaine*.

---

przekonać, czy wszystkie na miejscu.

W końcu myśl, rozruszana samotnością, zaczęła fermentować.

— Spałem dziś za długo po obiedzie. To źle! W nocy spać nie będę... chyba że się zmęczę przechadzką! Wątpię, jednak przeczuwam, że będę miał noc złą! I w żołądku niedyspozycya jest... maleńka! Ale od czego? Zdaje się, nie jadłem nic, coby ją wywołać mogło? Trochę zupy, pieczyste, kompot... rzeczy lekkie i strawne.. Wzruszył ramionami. Hm, może jagody? Zjadłem kilka truskawek... Nadal trzeba będzie i tego się wystrzegać! Westchnął. Teraz na wieczerzę jeden kotlecik cielęcy i trochę szparagów... kotlecik i szparagi... nic więcej. Dobrze byłoby i od tego się wstrzymać?... Głos wewnętrzny oparł się stanowczo tej propozycyi. No, niech tam! Kotlecik i trochę szparagów, wina żadnego... lepiej pół kieliszeczka koniaku... za dni parę zacznę kuracyę, trzeba dobrze usposobić żołądek! Żebyż ten gap nie zapomniał wygrzać flaneli na nogi! Wczoraj położyłem się na zimnej pościeli! Z nogami źle... kostnieją, w kaloszach zawiasy się popsuły... Starość! Uśmiechnął się. Starość to szlafrok życia; wygodna rzecz byłaby, żeby zdrowie służyło! Przy ostrożności jeszcze jakich latek dwadzieścia przetrwam! Żeby tylko trawienie uregulować... trawienie to grunt! Za mało myślałem o tem dawniej! Ob, *si jeunesse savait!* Teraz może już za późno! Wreszcie, przy mojem życiu akuratnem, nieobciążonem pracą... Co do pracy, to nigdy na nią uskarżać się nie mogłem... dziś na mojem stanowisku jestem... jakby to powiedzieć... szyldem, tak udekorowanym szyldem! Przygryzł usta złośliwie. Nie tylko myśleć, ale i mówić nawet nie potrzebuję! Rola manekina, ale, wygodna! Wszak i zero przy jednostkach ma swoje znaczenie? Zresztą, co mi tam jaką cyfrę przedstawiam swoją osobą?... Osiągnąłem cel, a zatem droga była dobra, przeciw swoim zasadom nie postępowałem nigdy! Hm, zasady! to panorama, zmieniająca się przy każdym szczeblu społecznej drabiny! Utopista chyba będzie dowodził inaczej. Pamiętam siebie u stóp karyery... i znam się dziś na jej szczycie... dyabeł by chyba w tych dwóch ludziach poznał jednego i tegoż samego człowieka. Z tem wszystkiem, krzywdy nie uczyniłem nikomu! Nawet w obietnice i protekcye nie bawiłem się nigdy! Protekcye to kule u nóg... Kto chce iść wysoko, musi wystrzegać się ciężarów! Trudno o wygodniejsze łożysko nad to, które sobie zdobyłem! Poruszył bokami, jakby się rozkoszował w miękkiem posłaniu. Nawet wszelkie zachcianki w porę umilkły! Wist elektryzuje mię trochę, ale i to w swojem kółku! Ci czterej naprzykład, grają jak jaki... w porę odszedłem, błazeństwo ich zaczynało mię irytować... Wiem, że o dobrych partnerów trudno... dopóki nie upatrzę sobie odpowiednich, nie siądę do stolika... Trzeba się wystrzegać! Od niejakiegoś czasu miewam leciuchne drganie serce... jest to już początek niedyspozycyi... od wzruszeń tedy zdaleka. Wprawdzie okoliczności ku temu rzadko się zdarzają. Życie moje ze wszech stron otoczyło się obłokiem spokoju! Rodzinne moje stosunki naprzykład? To raj, z którego Adam i Ewa dawno wygnani—a wąż? O nim podanie milczy, ja też nie dopytuję się wcale! Tylko ślepi i głusi mogą mieć doskonały spokój! Córka chorowała na czułość w dzieciństwie... skąd się to u niej wzięło? Po dziadach chyba! Tuliła się, lubiła pieszczoty... próbowałem wzamian za jej dobre chęci dawać imperyały... wychodziła zostawiając złoto na stoliku! Odkąd bywa na balach, zapomniała o pieszczotach, za to domaga się podwójnej pensyi! Syn urodził się praktycznym! Niemowlęciem jeszcze zamiast w rękę całował mię zawsze w pierścień z brylantem! Ten pójdzie wysoko! Szczęśliwy mój drogi! Brr... wilgotno... może wrócić? Ale cóż będzie ze snem, jeżeli się nie zmęczę ani trochę? Dalej tedy! Spieszniej, raźniej. (D. n.)

Ostoja.

sto logicznego, podstawiamy separacyę w czasie.

Mamy przeto zupełne prawo czynić Kantowi zarzut z niepotrzebnego użycia wyrażeń: materya i forma świadomości, jako przeprowadzających niewłaściwą linię graniczną. Forma nie łączy się z materyą po pewnym czasie, lecz jest tylko postacią, w jakiej ta ostatnia zjawia się w umyśle. Popełniamy przeto błąd, uważając różnorodność czuciową za *daną*, a formę za *zastosowaną* przez inteligencyę: obie dane są na jednej i tej samej podstawie. Ze stanowiska zjawiskowego, oba pierwiastki są dane odrazu, ze stanowiska filozoficznego należy powiedzieć, że oba są produktami myśli. Podobnież i termina: *a priori*, *a posteriori* mogą powodować nieporozumienia i niedokładności; szemata i kategorye nie poprzedzają czucia, gdyż zjawiają się tylko z okazyi czucia. Nie są one bynajmniej przywilejem uczonego. Najprostszy z ludzi wprawia je w działanie tak samo, jak uczony filozof, a to po prostu dla tego, że jest człowiekiem i że myśli.

W tym fakcie, iż Kant nie stanął na wysokości własnego swego pomysłu, należy, według Watsona, widzieć przyczynę wymarzenia przezeń świata rzeczy samych w sobie, realnych, chociaż dla nas niedostępnych, zarówno jak i w tej okoliczności, że kategoryom przypisał pochodzenie odrębne i wyższe. Przypuszczał on, że twory od nas doskonalsze z inteligencyą bardziej rozwiniętą mogłyby tę zakrytą dla nas dziedzinę poznać. Lecz, powiada Watson, jeśli się tego przesądu pozbędziemy, dostrzedz łatwo, że, skoro kategorye są tegóż samego szczepu, co i różnorodność czuciowa, nie może być mowy o świecie *numenalnym*, zupełnie różnym od tego, który my znamy. „Odrzucamy stanowczo fikcyę świata istniejącego po za obrębem nowej myśli.“ Innemi słowy, nie ma dwóch światów, i świat zjawiskowy, taki, jaki nam pokazuje nauka, nie jest odblaskiem, pozorem, obrazem świata bardziej rzeczywistego, jakby powiedział Platon. Jest tylko jeden świat, nasz, i dla tego, zbudowanego przez myśl ludzką wywalczyć powinniśmy rzeczywistość zupełną, całkowitą i bez zastrzeżeń.

Dzieło Watsona ma znaczenie niemałe. Inne jeszcze momenta porównawczego jego żywiołu, których tu nie przytaczamy, również żywo zainteresowały sfery naukowe francuskie, albowiem ostatecznym ich rezultatem jest interpretacya czysto zjawiskowa krytycyzmu niemieckiego, w czem zgadza się z autorem filozofia francuska, która do tego samego, chociaż innemi drogami osiągniętego, doszła wniosku.

N.

Malarstwo polskie.

(A. Gierymski).

„Lud — mówią bracia Goncourt w swojej książeczce aforyzmów *Myśli i wrażenia*— nie lubi ani prawdy, ani prostoty; lud lubi tylko legendę i szarlatana.“ Oto powód, dla którego obrazy p. Gierymskiego nie ściągają tłumów na Wystawę Zachęty Sztuk Pięknych, nie wywołują rozpraw entuzyastycznych po dziennikach. Gdyby p. Gierymski nie był malarzem realnym życia, gdyby nie był „jednym z tych rzadkich talentów, dla których świat widzialny istnieje,“ gdyby w owej sztuce nie trzymał się ściśle gruntu jej właściwego, nazwisko jego już oddawna, już od czasu namalowania *Austeryi rzymskiej* i *Gry w mora*, stałby się gwoździkiem, na którym reporterzy i krytycy przy każdej sposobności zawieszaliby traktaty estetyczne o sztuce w ogólności a o malarstwie w szczególności, i tak długo pisaliby o tem, czego w jego obrazach niema, że aż publiczność zatraciłaby poczucie tego, co tam jest. Gdyby p. Gierymski zresztą był się urodził archeologiem lub literatem, a malarzem został tylko z przypadku, jego talentem, już jeżeli nie cały świat, to przynajmniej cała Polska szczyciłaby się bez miary.

Ale „w malarstwie, jak mówią ciż sami bracia Goncourt, odmawiamy poważania malarzowi z temperamentu, z natury, z geniuszu, a trwałym szacunkiem obdarzamy tylko tych, którzy się nimi nie urodzili.“

Pan Gierymski jest malarzem z urodzenia, malarzem, który nie chce i nie potrzebuje swej twórczości podpierać literackiemi sztuczkami, jakkolwiek i dziś jeszcze, pomimo znacznego postępu w tym kierunku, wzajemne przenikanie się sztuk odbywa się na wielką skalę. Literaci wciąż męczą język, byle na kartkach książki osiągnąć słaby odblask obrazowości i malowniczości właściwej pędzlowi, a malarze w obrazach poniewierają formą i kolorem, byle wyrazić ideę, która tylko pod piórem jasno zarysować się może. Powieściopisarze palą się do martwej natury, a malarze w obrazach bronią łez.

Pan Gierymski tymczasem, jak na prawdziwego artystę przystało, od pierwszego zaraz występu na polu malarskiem, odrzucił precz wszystkie szczudła i wszedł do świątyni sztuki na nogach naturalnych malarza z temperamentu. Stąd wszystkie jego obrazy, począwszy od *Austeryi* a skończywszy na wystawionej obecnie *Bramie ze Starego Miasta*, są poetyczne, interesujące, głębokie —po malarsku. Poezya wypływa tam z harmonii barw, interes z tego, *jak* maluje, nie zaś z tego, *co* maluje, głębokość z poczucia charakteru i życia w naturze i ludziach tam nawet, gdzie inni nie widzą ani charakteru, ani życia. A przytem żadnych ustępstw dla bieżącego gustu publiczności! Kto nie rozumie siły palety, kto nie czuje czaru barw, dla kogo poezya słońca, światła, powietrza jest martwą literą, ten przed obrazami Gierymskiego napróżno stałby godziny całe i pytał się, jaka jest ich treść? Treści tam niema wcale, jak niema jej w zachodzie słońca, w szumie lasu, w plusku wody, podczas nocy księżycowej, jak niema jej w życiu, jak niema jej ani w tych ludziach, którzy po Nowym-Świecie chodzą, ani też w tych, którzy stoją, siedzą, rozmawiają, przechodzą przed *bramą ze Starego-Miasta*.

A jednak obraz p. Gierymskiego jest kartką wyciętą z historyi życia współczesnego. Mamy tam wszystko: i typy, i charaktery, i zwyczaje, i kostiumy wierne, i architekturę jak ją XVII wiek zostawił. Trzeba tylko patrzeć i umieć sądzić. Gdyż nie należy przypuszczać, ażeby Gierymski rzucił na płótno jakieś siedem czy osiem figur bez myśli, bez żadnego ładu, bez zamiaru wyrażenia czegoś po za pięknością linij i barw. Jego obraz przedewszystkiem jest odbiciem życia na Starem-Mieście, życia dzisiejszego, szarego, nudnego, płaskiego, poziomego — życia, które jest bezbarwnem nawet na zewnątrz, nawet w ubiorze. Jak jednak psychologowie tej bystrości, co Balzac, Flaubert, Zola, Daudet i bracia Goncourt, umieli z życia powszedniego wykroić dusze wielkie i zdumiewające prawdą, tak samo i malarze tej siły, co p. Gierymski, zawsze są w stanie z życia, pozornie bezbarwnego na zewnątrz, wykroić obraz malowniczy i zdumiewający bogactwem kolorów.

Po za typami, które są tej samej wyrazistości, co typy takiego Van Ostadego lub Teniersa, jego obraz jest arcydziełem koloru. Bo jakich barw tam niema, począwszy od najgorętszych w zagłębieniu bramy, które zdaje się przepalać płótno, a skończywszy na najzimniejszych w po wietrzu, w refleksach światła dziennego, na szyldach, które zdają się je dziurawić? Jest tam i surowy zielony na fartuchu ślusarczyka, który wymyśla babie, że pomarańcze za drogie, jest tam czerwony, czerwony jak ogień, na chustce dziewczyny w sklepiku, jest tam niebieski na szyldach zakładu ślusarskiego M. Taszyńskiej, jest tam żółty, granatowy, biały, fioletowy w plamach, w łatkach, w szmatkach, na twarzach, na rękach, w oczach, na piersiach obnażonych, na włosach zaplecionych, na murze, na drzwiach, na okuciach, na bruku, na śmieciach (tak samo jak u p. Wandalina Strzałeckiego, który maluje historyczne obrazy w stylu karykatur kolorowanych, a karykatury malowane z namaszczeniem i powagą malarza historycznych obrazów).

Ale p. Gierymski widzi kolory nietylko na palecie i nietylko w tej mieszaninie, jaką fabrykant w dutkach przygotował. W jego obrazach, tak samo jak w naturze, po za kolorami miejscowemi, po za plamami barwnemi, które tam mogą znajdować się przypadkiem, jest jeszcze kolor ogólny, kolor słońca, które natężenie pojedynczych plam modyfikuje, harmonizuje, w jeden ton zlewa. Stąd każda figura stoi lub porusza się w tej samej atmosferze świetlnej, co i przedmioty, co i akcesorya. W całym jego obrazku obecnym, niema ani jednej takiej plamki, któraby nie oddziaływała na drugą. Jeżeli przy wejściu do bramy stoi kosz z pomarańczami, to tego koloru pomarańczowego doszukać się można i na twarzy straganiarki i na rękach ślusarczyka i na wszystkich w około rozmieszczonych przedmiotach. Jeżeli w sklepiku pali się lampa, to jej światło czerwieni się i na głowie, i na chustce, i w powietrzu oblewającem obecną dziewczynę. Jeżeli na ulicy widać kosz z jajami, to refleks ich czepia się wszystkiego, co tylko światło i kolor odbić jest w stanie.

A przytem p. Gierymski ani na chwilę nie daje się unieść swemu zapałowi do barw, jako takich. Pomarańczowo-czerwone, czy fioletowo-niebieskie, gorąca czy zimne, zagłębiające się w płótno, czy wyrywające się naprzód, wszystkie one pod względem wartości tak są skombinowane, że na nich czuć kolor ogólny powietrza, który je oblewa. (I tu właśnie zaczyna się różnica pomiędzy p. Gierymskim jako kolorystą, umiejącym na palecie rozłożyć do nieskończoności promień słońca i następnie złożyć go harmonijnie na obrazie, a p. Wandalinem Strzałeckim i jemu podobnymi, którzy owego promienia słońca ani rozłożyć, ani złożyć nie umieją). Stąd też w obrazie p. Gierymskiego niema krzyku, niema gwałtu kolorów, pomimo malowniczej barwności szczegółów. Oko spokojnie przechodzi od jednej plamy do drugiej; obejmuje doskonale bryłowatość figur, zatapia się w głąb bramy, zagląda przez kraty żelazne, zatrzymuje się pomiędzy figurami, i w całym tym pochodzie nie potrąca się ani o jeden szczegół, któryby mógł je urazić, ponieważ powietrze natury wszędzie, przez wszystkie wartości nierówne kolorów utorowało mu drogę.

Najsłabszą stroną obrazu jest bruk. Każdy z jego kamieni ma swoją wypukłość, swój kolor, swój refleks delikatny od przedmiotów blisko znajdujących się, swoje stanowisko samoistne w ogólnej masie koloru zimnego, jaki go przesłania. Pomimo to jednak, a może dla tego właśnie, bruk ten zadziwia barwnością niezwykłą, nieco nawet przykrą dla oka, któreby wolało kamieniom przyglądać się mniej zbliska, i w liniach mniej szczegółowych, skoro nic o nie artyście chodziło. A przytem głowa kobiety idącej ulicą, tej staruszki, ktora do sąsiedniego domu już jak na pielgrzymkę, jak na wielką podróż się wybiera, zanadto łączy się z rękawem handlarza, który stoi oparty plecami o mur. Jest to szcze-

gół tylko; tam jednak, gdzie chodzi o powietrze w obrazie na powietrzu i dla powietrza malowanym, drobny nawet szczegół niedostatecznego oddzielania się farb w jednem miejscu jest błędem, i jako taki zanotowanym być winien, zwłaszcza, że w niczem nie uwłacza powadze talentu artysty, który „prawdę i prostotę“ natury w mistrzowsko pięknej, objektywnej formie pokazał.

Antoni Sygietyński.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

D. Zgliński. **Humor w Panu Tadeuszu**, Warszawa.

Jednocześnie prawie dwaj publicyści zwrócili uwagę na obfitość pierwiastków humorystycznych w naszej najpiękniejszej epopei. Pan Bigeleizen, mówiąc w *Tygodn. Ilustr.* o „krajobrazach w Panu Tadeuszu,“ pobieżnie tylko o ten przedmiot zawadził; natomiast p. Zgliński rozpisał się na 25-ciu stronicach zwykłej ósemki. Broszurka ta, zbyt mała, niestety, zasługuje na uwagę, zarówno ze względu na podejmowane w niej zagadnienia, jakoteż i na sympatyczny sposób ich traktowania.

Zawartość jej streszcza się w następującym szeregu twierdzeń:

1) Dowcip podnieca do głośnej wesołości... Humor pobudza do spokojnego zadowolenia.

2) Mickiewicz jest największym humorystą polskim i jednym z największych w ogólności.

3) Tajemnica jego humoru polega na tem, że postacie i momenta niepowszednie utrzymuje w karbach realizmu, pamiętając o ich rysach powszedniejszych; zaś pospolitym dodaje nieco powagi.

4) Środkami *humorystycznej* twórczości Mickiewicza były: naturalność i jej plastyczne uzewnętrznienie.

Żadnego z twierdzeń powyższych milczeniem pominąć nie można.

Jeżeli paralela, przeprowadzona przez p. Z. pomiędzy dowcipem i humorem jest ścisłą—a za taką uważałbym ją pragnął—to niesłusznie nazywa autor *humorem* brylantowy sarkazm Heinego, który wcale do „spokojnego zadowolenia“ nie usposabia. W imię sprawiedliwości upomniałbym się również o krzywdę wyrządzoną naszym autorkom przez zbyt ryczałtowe odsądzenie ich od zdolności humorystycznych. Panie nasze nie domyślają się, jak dalece uwłaczającym jest dla nich wyrok p. Z. Dowcip należy do efektów czysto zewnętrznych, humor wymaga większej refleksyi. Rzeczy efektowne zwracają na siebie uwagę nawet najmniej oświeconych umysłów, refleksya jest cechą wyższych organizacyj psychicznych. Usiłowanie dziecka, nakarmić chlebem porcelanową lalkę, „pobudza do głośnej wesołości“ ciemną jego piastunkę, ale wywołuje tylko *uśmiech* na usta rozumnego ojca, dla pierwszej usiłowanie takie jest komicznem, dla drugiego—pełnem humoru. Tamta widzi tylko śmieszność, ten zaś obok śmieszności spostrzega zaczątki *altruizmu* — i przez refleksyę umie się postawić na stanowisku, z którego nakarmienie lalki jest rzeczą ważną. Czy chciałybyście więc czytelniczki być *tylko* dowcipnemi? Co do mnie, to, zgadzając się w trzech czwartych z autorem, upraszam go tylko o małe wyjątki, a na pierwszy ogień jego zarzutów wystawię starego żołnierza — Wojciecha Zapałę p. Konopnickiej...

Sprawiedliwości drugiego twierdzenia swego broni autor za pomocą szeregu umiejętnie wybranych cytat, których liczbę, jak słusznie utrzymuje, możnaby znacznie powiększyć. W odnośnych dowodzeniach p. Z. na szczególną uwagę zasługuje porównanie humoru Mickiewicza z pokrewną zdolnością innych mistrzów. Metoda porównawcza w studyach estetycznych jest śród naszych patentowanych estetyków tak rzadka, jak gruntowna znajomość sztuki i genetycznego jej związku z życiem.

Określając tajemnicę humoru Mickiewicza, p. Z. zrzekł się dobrowolnie bardzo pięknego uogólnienia: tajemnica ta jest bowiem kwintesencyą *wszelkiego* humoru. Gdyby z po za śmiesznej zbroi Don Kiszota nie wyglądała powaga wpływów dziejowych — Cervantes z humorysty stałby się suchym ordynatorem kliniki waryatów.

Niesłusznem jest również w broszurce p. Z. zmonopolizowanie środków takich, jak naturalność i plastyka — na wyłączną korzyść humorystycznej twórczości Mickiewicza. Bez tych potężnych dźwigni żaden humor nie może się wznieść na wyżyny artyzmu. Brak naturalności stanowczo zabija humor, stawiąc na jego grobie *karykaturę*. Co zaś do plastyki — to jest ona niezbędnym warunkiem i okrasą wszelkiej poezyi, nawet lirycznej. Mówiąc o bogatej kopalni typów, z jakiej mógł czerpać twórca *Pana Tadeusza*, należało też większy położyć nacisk na historyczne przyczyny humoru naszej szlachty. Zagłębienie się takie aż do pierwotnych źródeł zjawiska, podniosło estetykę dzisiejszą do godności nauki, a uwalnić od niego może tylko... brak wiedzy, jakim autor zasłaniać się nie ma prawa.

Język p. Z. jest starannym. Nie jestem tylko pewnym, czy słowo *rubacha* może z dobrym skutkiem zastąpić znaną nam wszystkim *rubaszność*. Oprócz tego niemogę się zgodzić na „werwę pękających granatów,“ których łoskot nie mógłby mnie usposobić do „spokojnego zadowolenia;“ co zaś do „*potoków* ludzkiej *krewkości*,“ to rozpuściłbym je w strumieniu jakiejkolwiek cieczy, której postać przybrały samowolnie.

M. B.

Odczyty publiczne.

Wojciech Dzieduszycki *O stoikach, sceptykach i epikurejczykach.*

Kto pamięta pierwsze odczyty p. Dzieduszyckiego, wygłoszone niezrozumiałą prawie dla ucha dykcyą, tak zawiłe i chaotyczne, że z wysiłkiem ledwie można było uchwycić ich wątek, ten z przyjemnością zaznaczy wielki postęp prelegenta w sztuce popularyzowania wiedzy filozoficznej. Zamiast spacerów *à vol d'oiseau* nad obszarami całej historyi filozofii, prelegent w tym roku dał nam trzy obszerne wykłady, opowiedział barwnie ostatnią fazę rozwoju myśli starożytnej przed nastaniem jutrzni chrystyanizmu; zamiast luźnej pogawędki wystąpił z dobrze i spójnie obmyślaną całością. Trzymając pozornie wykład w granicach przedmiotowych, przeprowadził umiejętnie a oględnie utajoną myśl swych odczytów, która istotnie wypływała *a posteriori* z samej charakterystyki faktów. Nakreślił tedy na wstępie p. Dzieduszycki w dobrze obmyślanej perspektywie ogólne warunki rozwoju filozoficznej myśli w stosunku do kolei dziejowych starożytności, aby następnie na tem tle scharakteryzować rolę filozofii w ostatnim okresie cywilizacyi starożytnej, poczem dość szeroko rozsnuł dzieje i teorye różnych szkół filozoficznych, rzucając na nie umiejętne oświetlenie ze swego stanowiska.

Pomimo jednak całego objektywizmu p. D. niezupełnie równomiernie rozkładał światła i cienie na różne kierunki. Stoicyzm naturalnie zolbrzymiał w jego charakterystyce. Ta doktryna, uznająca tradycyę religijno-dziejową, głosząca zasadę dumnego wytrwania w cnocie, ukazująca człowiekowi doziemskie cele bytu, przedstawioną została jako najdroższy prąd myśli starożytnej, jako odmładzające źródło, które część społeczeństwa greckiego utrzymało przez pewien czas w moralnej krzepkości.

Surową etykę stoików, która torowała drogę chrześciańskiemu ascetyzmowi, imponując podniosłością, ocenił prelegent ze szczególnem zamiłowaniem i wykazał faktycznie, choć nie zaznaczył tego dość wyraźnie, ile od nauki Zenona z Cypru oraz jego następców zapożyczyła moralność nowej wiary.

Rozumie się, że obok tak przedstawionego stoicyzmu musiał zblednąć epikureizm, który śmiał rzucić ziarno zwątpienia na grunt starożytnego dogmatyzmu. Ponieważ nauka Epikura burzyła klasyczne baśnie, a natomiast stawiała głębszą i konsekwentniejszą teoryę istnienia bóstw po za światem, samych w sobie, nie wpływających na losy natury i człowieka, przeto niektórzy wstecznicy mają do greckiego mędrca pretensyę, tak jakby on naprzykład nie strącił z piedestału Jowisza z całą czeredą bogów, ale miał pewne wątpliwości co do wielu dogmatycznych produktów dzisiejszego ultramontanizmu.

Prelegent jednak samą doktrynę Epikura traktował spokojnie, wyjaśnił, że jego teorya o roskoszy nie jest bynajmniej apostolstwem zmysłowości i zezwierzęcenia, jak to głosili potwarcy epikureizmu, albo jego niedowarzeni wyznawcy; ale starał się wykazać, że konsekwencye tej nauki, doprowadzone do ostatnich granic, rozszerzyły tyle moralnej zgnilizny w świecie starożytnym, ile stoicyzm podniósł i uszlachetnił naturę i obyczaje człowieka. Że w tem zestawieniu tkwi pewna cząstka prawdy — przyznać można, z wielkiem jednak zastrzeżeniem. Przedewszystkiem nawet przy dzisiejszej znajomości starożytnych dziejów niepodobna z naukową ścisłością wykazać wszystkich przyczyn upadku starej cywilizacyi, gdyż stosunkowo mało znamy faktów życia ówczesnej epoki, aby można na ich podstawie dojść do zupełnie stanowczych wniosków. Nic więc dziwnego, że doszukując się wewnętrznej logiki rozwoju dziejów, przypisujemy zbyt często nadto wielką rolę systematom i teoryom filozoficznym, które mają daleko większe znaczenie jako objaw danego momentu cywilizacyi, aniżeli jako jej czynnik wpływowy.

Poglądy takie są wprawdzie wygodne dla głów, które radeby np. nowe teorye naukowe i filozoficzne zrobić odpowiedzialnemi za wszystkie ludzkie występki i następstwa, za stare, jak świat, podłości i zbrodnie. Z naukowego jednak punktu widzenia trzeba nader ostrożnie oceniać wartość doktryn filozoficznych, których wpływ na ruch umysłowy może być potężny, ale nie zawsze w równym stopniu odbija się w sferze moralności i obyczajów. Zarówno stoicyzm, jak i epikureizm, rozpatrywane w stosunku do całości cywilizacyi, wśród której powstały, są wielce charakterystycznem znamieniem epoki i dlatego zapewne rozgałęziły się tak szeroko, że podsycał ich żywotność cały stan świata klasycznego, który już się wyżył, wyczerpał, nie miał istotnie żadnych ideałów dodatnich, a w warunkach rzymskiego jarzma nie mógł żyć swobodnie i szczęśliwie. Ciężko wtedy i duszno było na świecie, rządzonym samowolnie, okrutnie przez kaprys ziemskiego boga; rzeczywistość była przykrą i pełną cierpień, więc ludzie szukający szczęścia i spokoju stworzyli filozofię znieczulenia, którą jest zarówno stoicyzm, jak i epikureizm. Pomimo zasadniczych przeciwieństw, oba te kierunki dążą do tego, aby wśród dziejowych klęsk i mroków dać jednostce mo-

żliwą cząstkę spokoju i szczęścia, tylko innemi do tego celu idą drogami. Nie znają one, jak filozofia Platona i Arystotelesa, szerokich pomysłów społecznych, nie tworzą ideałów budowy państwowej, gdyż zimna rzeczywistość rozproszyła te szlachetne mrzonki; ale zajmują się przeważnie dolą jednostki i ukazują, jakim powinien być człowiek, aby w tych strasznych i okropnych czasach odpowiedział godnie ideałowi prawdziwego mędrca.

Wobec tych dwu szkół filozoficznych, prelegent przyznał wielkie znaczenie sceptycyzmowi Karneadesa, dla tego, że ów myśliciel, osłabiwszy jaskrawą doktrynę Pirona, głosił filozofię, która burząc dogmatyzm istniejących systematów, oczyszczała grunt umysłowy i torowała drogę nowemu dogmatyzmowi chrystyanizmu, powołanego na to, aby nowem życiem chwilowo zgalwanizować konający świat starożytny.

Ze stanowiska, określonego w końcu odczytów, okazuje się jasno ich zasadnicza dążność, którą obrazowo nazwaćby można zanuceniem chrześciańskiej jutrzni na mogile pogaństwa. Krytyka niepodległa może robić swoje zastrzeżenia, co do układu i charakterystyki różnych części tego obrazu danej epoki dziejów filozofii, może nie uznać głębszej celowości odczytów, jeżeli ocenia wartość objawów myśli ludzkiej nie z gruntu jednej religijnej doktryny. Mimo to przyznać musi prelegentowi prawdziwą naukową godność i spokój w traktowaniu zagadnień, dążenie do przedmiotowości a nareszcie jasność i barwność w charakterystyce wielu szczegółów obranego przedmiotu. P. Dzieduszycki mówił jak uczony, nie dał się zbyt unieść gorączce konserwatywnego sekciarstwa i budził szacunek nawet wśród przeciwników swych opinij.

Pomimo błędów wymowy wykazał istotny talent oblekania kwestyj filozoficznych w szatę barwnej, popularnej gawędy, chociaż przeciągając nadmiernie długość odczytów, skazywał słuchaczów na zbyt forsowne wysiłki uwagi i cierpliwości.

J.

TEATR.

Tancerka, fantazya dramatyczna w 1 akcie podług włoskiego oryginału Piotra Cossy, przerobił Kazimierz Kaszewski.

Wbrew zwykłej opinii o miernej wartości wszystkich przeróbek pełna wdzięku fantazya dramatyczna p. Kaszewskiego, zrobiona z dramatu Cossy *Nero*, zasługuje na odznaczenie krytyki, jako zupełnie nowe zjawisko w dziedzinie scenicznej. Jestto drgający namiętnością i poezyą obraz z życia na dworze tego komedyanta w purpurze, który był po części zwierzęciem, po części błaznem cyrkowym, a po części artystycznym maniakiem. Neronowi sprowadzają uroczą tancerkę grecką, która zachwyca go wdziękiem kibici. Młode poetyczne dziewczę chwilę tylko zaznało rozkoszy i upojenia wśród złoconych komnat wspaniałego dworca, chwilę tylko pieściło oczy, żyło szałem i uciechą wśród wspaniałej biesiady... Otruta przez zazdrosną ulubienicę Nerona żegna gorącym głosem swoje „wdzięczne tany“ a wobec jej trupa cezar po chwilce przelotnego żalu każe sobie „sprowadzić inną,“ aby nasycić na nowo rozkapryszoną fantazyę i wiecznie głodne żądze.

Kilka scen, drgających szałem namiętności, ozłoconych blaskiem poezyi, zakończonych bolesnym zgrzytem — oto i cała treść tego fragmentu, który szybko przewija się przed oczyma słuchacza i uderza go szeregiem silnych wrażeń.

Poetyczne kwilenie dziewczęcia, gwar biesiadny, szał bachiczny i jęk konania łączą się tu w wymownym kontraście... Rzecz pociąga i nęci dla tego, że zarówno autor dramatu, jak i jego współpracownik polski, malując sceny starożytnego świata, zrzekli się pedanteryi i patosu, ale mówili językiem ludzkich uczuć i namiętności, kładąc na ich zewnętrznych objawach iście starożytne piętno.

Patrząc na tę sztukę czujemy się przeniesieni w atmosferę inną, w której pewne strony życia pojmowano swobodniej i szczerzej, w której fala namiętności płynęła bystro, niekrępowana, jak dzisiaj, tamą foremek i konwenansów. W postaci greckiej tancerki zaklął autor rwącą siłę młodocianych uniesień a wreszcie ową miękką rzewność i wdzięk pieściwy, jakie czarują nas w pieniach Anakreonta lub elegiach Tybulla. Neron wyszedł tu ułamkowo, gdyż w scenach z Eklogą mógł uwydatnić tylko erotyczną i zmysłową stronę swego charakteru, a we wspaniałym „peanie“ biesiadnym, który p. Kaszewski dopisał do dramatu, wystąpił jako artysta, niezupełnie zgodnie z prawdą dziejową usprawiedliwiający swoje pretensye do twórczości, gdyż, jak wiadomo, był nędznym tylko partaczem.

Właściwie mówiąc, w fantazyi tej niema ani akcyi, ani intrygi, ani budowy, któreby odpowiadały utartym, estetycznym formułom. Dla nas jednak jestto właśnie przymiotem sztuki, że odskakuje od recept literackich, że nie jest ukutą na pospolitą modłę. Wśród dzisiejszego rzemieślnictwa, wśród wymyślnych figielków *maestryi*, miło jest spotkać się z utworem pisanym szeroko i swobodnie, tętniącym siłą namiętności, wyższym nad zdawkową rutynę i nieskrępowanym przez tuzinkowe względziki.

P. Kaszewski nietylko umiejętnie spoił tu kilka scen artystycznym cementem, ale potrafił samodzielnie włożyć w utwór głęboką intencyę, ukazał w politycznym symbolu nicość tej konającej w przesycie cywilizacyi, której myśl błąkała się pomiędzy stoicką pychą a zezwierzęceniem cynizmu.

Z wykonawców tej sztuki główne uznanie należy się pannie Wisnowskiej, której talent sceniczny z każdym niemal dniem rozrasta się i dojrzewa. Dość tylko zestawić taką rolę, jak Ireny w *Pięknej*, w której dramat wewnętrzny oblekła artystka w kształty charakterystyczne i tę wdzięczną, delikatnie wycieniowaną, poetyczną postać greckiej tanecznicy, oddanej bardzo wabnie i inteligentnie, aby się przekonać, że skala twórczości młodej artystki znacznie przekracza sferę naiwnych uśmieszków i wdzięcznych minek. Postać Nerona p. Kotarbiński traktował dosadnie i zmysłowo, odpowiednio do wskazówek współczesnych dziejopisów; p. Rakiewiczowa pięknie zagrała rolę mściwej faworyty, p. Waliszewski dzielną rolkę cynika wydobył z tła utworu. Muzyka p. Hoffmana do tańca i deklamacya biesiadna pieściły ucho pogodnym, heleńskim wdziękiem.

S. K.

NOWE PRZEKŁADY STARYCH POEMATÓW.

PIEŚNI HOMERYCZNE I NIBELUNGI.

III.

Tłomaczenie Odyssei Siemieńskiego chwalono u nas niezwykle. Naogół zasługi i talent tego poety, zdaniem mojem, przeceniono; dla czego, w to tutaj wdawać się nie będę. Lecz ponieważ przekład Odyssei podniesiono do potęgi pomnika narodowego, winienem obszerniej nieco o nim pomówić; muszę bowiem wprost przeciwne zdanie wyrazić, a zatem obowiązkiem moim jest upowodować je i uzasadnić.

Zaczniemy od przyłożenia skali wymagań, któreśmy niższemi nazwali. Czy Siemieński umiał po grecku? — Albo nie umiał, albo też bardzo słabo: dzisiaj nie jest już to tajemnicą. „Siemieński nie mógł tłomaczyć (powiada Ćwikliński w wyżej przytoczonem piśmie, str. 139) z tej prostej przyczyny, że nie znał dokładnie języka greckiego. Po cóż to ukrywać, kiedy wszyscy o tem wiedzą i mówią! Wiedzieli o tem recenzenci, wiedzieli lepiej odemnie, a jednak żaden ani słowem nie wspomniał, że Siemieński nie mógł się obyć bez pomocy tłomaczeń, że głównie z łacińskiego i francuskiego przekładu własną utworzył przeróbkę... Siemieński nie tłomaczy, lecz parafrazuje.“

Jak wygląda polszczyzna w przekładzie Siemieńskiego? Każdy nieuprzedzony, niepowodowany ubocznymi względami odpowie: okropnie! Należał on u nas do owej epoki, której podobną nazwano u niemców *Sturm- und Drangperiode*, kiedy to romantycy zrywali z tradycyami, kodeksem i wiarą klasyków; przełom ten odbił się i na języku. Mickiewicz użył pewnej liczby wyrazów nowych; uszło mu to, bo wielkim poetom wiele uchodzi; ale cała gromada naśladowców i epigonów, zapominając, że *quod licet Jovi, non licet bovi*, prześcigała się w kaleczeniu mowy ojczystej najdzikszymi barbaryzmami, sądząc, że dziwactwem słowa zastąpi oryginalność myśli i formy. Upodobano sobie szczególnie w tak zwanych naówczas „sławiańskich“ wyrazach; brano zaś je to od rusinów, to od rosyan, to od czechów; wskrzeszano staropolskie formy; sadzono się na prowincyonalizmy i nowotwory, a im kto nienaturalniej przemawiał, tem za wyższego poetę uchodził. Dość wspomnieć przekłady *Rękopismu królodworskiego!* Cóż to za pstrocizna zewsząd połapanych wyrazów i wyrażeń, z zupełną pogardą równoznacznych zwyczajnych, prostych, naturalnych i zrozumiałych. Najzabawniejsze w tem wszystkiem było to, że po większej części wcielano obce wyrazy bez żadnego poczucia i przygotowania lingwistycznego, często niedobrze je rozumiejąc i nieprawidłowo używając. Tak np. Siemieński olśniewa zdumioną gawiedź, używając *czasz* w czwartym przypadku (str. 128), *niewieście* w liczbie mnogiej (str. 114), rzemień *zadzierzgnion* w czwartym przypadku; *li* w znaczeniu *tylko* grasowało jak choroba: jedni pisali z predylekcyą *li tylko*, inni, śmielsi, po prostu *li*, nie wiedząc zapewne, że w takiem znaczeniu *li* nigdy u nas nie istniało (105, 147 i gdzieindziej); *wiec* jest u niego rodzaju żeńskiego: na *wiecę* zwołali! (str. 47).

Samo już dodanie słowniczka do popularnego przekładu bardzo w oryginale prestego i zrozumiałego poematu, najnieprzychylniej usposabia czytelnika. Siemieński przyznaje się w nim do kilkudziesięciu wyrazów, które czuł się w obowiązku wyjaśnić. Czytamy tam np. „nosady, wyraz starosłowiański, znaczy łodzie, statki.“ Ale takiego wyrazu, jako żywo, w języku starosłowiańskim niema, *Otrok* objaśniony jako *mężczyzna*. Tymczasem wyraz ten w starosłowiańszczyźnie znaczy chłopiec, tak samo jak i u nas w niektórych gwarach ludowych, w tejże formie, lub z przedstawką *j : jotrok*. *Bugaj* ma znaczyć „gaj poświęcony Bogu“ (bóg—gaj!!). Dalej idą bukłak, haszcze, chram, czużyna, czahar, głobić, gonny, kływy, kołbań, komysze, liszyć, łęg, lewada, pielesz („gniazdo *domowe*“ ?); pornąć, pasoch lub posoch, postoły, rubież, śpiża lub spyża, sudno, sudanny, szlem, tyn, wańczosy, wręga, żertwa, złoba. Ale ileż to oprócz tych, paszportem opatrzonych wyrazów spotyka się w samym tekście! Oto próbka (niewyczerpująca zresztą): boginia, choć jak, czej, chabal, wrócić

doma, jak raz, łyszczący, łza z oka kanie (76, cóż to za kakofonia!), konicz, ladacy, lewada, łepak, mołojec, majdan, ni w znaczeniu niby, toż nito, namiotka, nieochajny, ostryż, oporać się i uporać się, popod, potrzebywać, podrywka, przylepła, puszyć czem, prażnik, przytuszyć, przyhołubić, roztocz, rodzicy (ma być 2 przypadek rodz. żeńskiego), sztuk grzbietu, sałhan, siła (w znacz. dużo), o synie (7 przyp.), sosien, ta (w znacz. tam), trutka, umny, uśmiercić, w Pylos odprawił (w znaczeniu do P.), w posły biegła, wraży, wyładzić, wtomiast, wiązań (wiązka drew), wyż, wmięsić, wychynąć, wraz (w znacz. zaraz), mulnemi źróbaki, zachoży, zkądeś (w znacz. zkądś). Zgłoski *ną* i *nę* wyrzuca Siemieński jak mu się zamarzy: zagabła, wymkło się, wemkło się, umkła, przyklaśli, śmigli, ciśń, ciągcie, dzwigłoby; pierwsza osoba liczby mnogiej tak brzmi: legli my, my polegali, jęli my się, my uszli itd. Są to prowincyonalizmy, i to nie wszystkie. A teraz t. zw. „sławiańskie,“ niewymienione w słowniczku: bojary, cużyna, druh, drużba (w znacz. drużyna), doborny, kniazie, kniahinia, koraby, korablom, krasawica, kruż, miedny (stale zamiast miedziany lub śpiżowy), na pował zburzyli, odprawił się w Pylos, ostrów, ostrówek, prestoł, przegnała (w zn. przepędziła), skoty, tucza, terem, udar, weln (fal), władyka, w bój wyzwał, w Hades poszła, witeź, zabyć, zabądźmy (78), zapadny (zachodni), żertwa, żertwić, żertwienny, żertwiennik.

Och te *władyki*, *kniazie*, *witezie*, czyby nas od nich panowie poeci i tłomacze nie raczyli uwolnić?! I pan Popiel *władykami* się zaraził. Zapominamy, że to wyraz zgoła obcy, nigdy w dawnej polszczyźnie inaczej nie używany, jak tylko w charakterystycznem, specyalnem znaczeniu biskupa obrządku wschodniego.

A oto archaizmy, na nic zresztą w przekładzie Odyssei niepotrzebne, gdy zamiast nich posiadamy powszechnie znane i używane wyrazy lub formy: *sam* tu, moi! (dziś mówimy tak chyba na psy tylko), sepety, krwie, k' jutrzni, naschwał, k' lądu, o ziem, k' Erebu, „bełt nastrzępion pióry“ (189), nabit strzałmi (314), jen (w znacz. który), nielza, ninie; stroje k' rzeczne (!), gospodyna (czemuż już nie gospodzina?) i t. p. Jakież niefortunne złożone i nowe wyrazy! np. waligroda Odyssej (przypomina się golibroda), forminga dłubana, bystroumny Odyssie!, burzywoda Pozejd (przypomina się burczymucha), tabunna Troja, albo np. chełpa, krańc ziemi, stradałam męża, posąd (posądzenie), w przekor, wilgne, trosek, uberlone kniazie, bożyc chromy na nogi, słębił, pochw (pierwszy przyp.), modłą nieustanną, pieszakiem, lęk ziął blady (189), bić się do upadła itp. itp.

Trudno zrozumieć, dla czego w tłomaczeniu Siemieński zostawia pewną ilość wyrazów nieprzetłomaczonymi, np. agora, chiton, chlena, dysk, egis, egida, egidny, demon (czasami oddaje go wyrazem *bies!*), forminga, heroj, keryks, krater, knemidny. Co do imion własnych, panuje u niego istny zamęt: żadnej jedności ani konsekwencyi; raz tak, to znowu inaczej nazywa te same postaci, raz w formie łacińskiej, to znowu niby w greckiej; najzabawniejszemi są Pozejd (207), Pozejdon (149, 206) i Boetycz (230).

Formy wiersza używa S. rymowanej, trzynastozgłoskowej. Ma się rozumieć, że przy tych warunkach o odpowiedniości wierszowi oryginału nie może być mowy. Dla rymu poświęca się dosłowność, inaczej być nie może. Gdybyż choć rymy były za to zawsze udatne; ale czytamy takie np.: przyniesie—znajduje się (133), kolasie—rozlega się (233), płacze—patrzę (296), prawdą jest i to—oka coć wybito (156), przeświadczył—majaczył (315), przyślij—na myśli (332), izby—ciżby (337) itp.

Tonu i wagi mowy pieśni homerycznych Siemieński zgoła nie uchwycił. Zniżył on je do rubaszności i prostactwa. Pierwotność, prostota, naiwność Homerowa odbiła się u niego trywialnością, grubizmem, gburowatością. Jak się pieśń kantyczkowa ma do ludowej, tak przekład Odyssei Siemieńskiego ma się do oryginału. „Wydało mi się miejscami, powiada p. Ćwikliński (w dz. wsk. 144), jakoby poważne epos przeobraziło się w utwór komiczny, w jakieś facecyjne opowiadanie.“ „Grube zniżenie tonu oryginału“ zarzuca inny sędzia (przytoczony tamże str. 137).

O jakże *grube*, zawoła każdy, kto bez uprzedzenia porówna z oryginałem takie np. wiersze: Mięs kęsy wycharkiwał gardłem pijaczysko (152), albo: wszyscy ziemię gryźli na toku (329); patrz ino, ten łotr (326); nikt się u ciebie, matko, serca nie domaca (339); lat dziewiątek się parał Troi oblężeniem (328); Odys, ćwik szczwany jak mało (324); bąknął mu nawiasem (325); ustąpcie kęs na stronę (114); biegł Telemach skrobiąc we drzwi jej komnaty (333); wszędzie gwałt serwatki (148); siła różnych miast (t. j. wiele) (35); otbyś nie budziła! (334). Jakiego to smaku i autoramentu są takie np. wyrazy i zwroty: łydy, łepak, staruch, skapieć, chwat, chłop jary, tnie zamiast mówi, gamratka, złota talencik, kałdun, brachu, łeb sobie łamać, wtaczał z mordęgą niemałą, gnaty ludzkie, uśmiercić, bies sprawę gmatwa, jam rad samosam chadzał, bydlaki, wyżyga (przez *ż!*), zebrawszy się w kupę, mądrocha, mać twa, Achillesie (348) i mnóstwo, mnóstwo innych, równie *delikatnych*?

Nareszcie poznajemy ustęp kilkunastowierszowy, aby mieć wyobrażenie gęstości tych usterków.

Weźmy np. początek pieśni drugiej:

Gdy świt różanopalcą urodził jutrzenkę,
Syn Odyssa się z łoża porwał, wdział sukienkę
Chędogą, a przez ramię zawiesił miecz srogi,
Pięknemi postołami białe opiął nogi,
I wyszedłszy z komnaty jak niebianin śliczny,
Wydał rozkaz keryxom, aby okoliczny
Lud kędziornych Achiwów na wiecę zwołali.
Więc na głos ich Achaje zewsząd się ściągali,
A gdy już powołani gromadnie się znidą,
Wstąpił pośród nich w ręku ze spiżową dzidą,
Wzdy nie sam; lotnych chartów parę miał przy sobie,
Pallas taki nadała blask jego osobie,
Że lud wszystek się cieszył z młodzieńca widoku.
Zasiadł prestoł ojcowski; starce cofli kroku.

Ustęp ten do najmniej nagannych należy, a jednak, ileż tu odstąpień od oryginału, ile wymuszonych, staroświeckich, cudzych, prowincyonalnych, z konceptu tłomacza dodanych wyrazów! W oryginale niema ani słowa o *urodzeniu* jutrzenki, ale za to jest przymiotnik charakterystyczny przy synu Odyseusza; *sukienka* wygląda jakby dla dziecka; miecz *srogi* przypomina ów *ogon srogi* u Karpińskiego; *postoły* i *komnata*, *keryksy*, *kędziorne* Achiwy, przeradzające się zaraz w następnym wierszu w Achajów, *ściąganie się* ich, *znidą*, *wzdy*, *prestoł*, *cofli*... każdy wiersz razi jakiemś dziwactwem, jakąś swawolą lub nienaturalnością, niby umyślnem sadzeniem się na oryginalność. Prawdy, wierności, prostoty ani śladu.

I taki to przekład, oddany w mowie, zlepionej ze starych i nowych łachmanów, nierówny, niejednostajny, zdradzający i kompromitujący oryginał, wywołuje hymny pochwalne ze wszech stron, posuwające się do orzeczenia, iż „bodaj który inny naród w Europie zdobyłby się na podobne tłomaczenie!“

Mojem zdaniem, przekład ten należy do epoki drugiej, w szemacie Göthego, do epoki *parodystycznej*. Taka Odyssea, jaką widzimy w przeróbce Siemieńskiego, to istna parodya, ale o tyle niższa od prawdziwej parodyi, że nieświadoma. Czytać ją należy chyba dla tego, żeby się dowiedzieć, co za karykaturę zrobić można z nieporównanej pieśni homerycznej, z wyrobionego i bogatego języka naszego i wogóle jak tłomaczyć *nie* należy.

(D. n.)

Jan Karłowicz.

LIBERUM VETO.

Cichy zgon *Nowin*. — Ich ostatnia wola. — Spadek.— Konieczność narodzin.—Pierwszeństwo wynalazku. — Maszyna mówiąca. — Co następuje. — Potwarcze wieści. — Ich skutki. — Konkurs na kamizelkę i budowniczego młynów. — Hamletowskie pytanie. — Nowa *société*. — Co nam przystoi. — Straszny gość.

Cicho, bo nawet bez płaczu przyjaciół umarły, czy usnęły *Nowiny* i to akurat w chwili, gdy znakomity uczony włoski wydał dzieło, dowodzące względnego zmniejszania się liczby przestępstw pod wpływem oświaty. Zgasły dziennik wezwał przed śmiercią pozostałych przy życiu towarzyszów i objawił im swoją ostatnią wolę, zaleciwszy, ażeby ćwiczyli swą mądrość w rozważaniu słów jego zakonu. Tak uczynił Konfucyusz, Budda, Mahomet i wszyscy wielcy prorocy. Jakkolwiek nasz mistrz pozwolił swobodnie krytykować swą naukę, ja jednak, wiedząc, że to pachnie klątwą i równa się „nieprzyjaźni dla narodowego postępu“, odstępuję od egzekucyi testamentu i jedynie ogłaszam... spadek. Kto wylegitymuje się, otrzyma 2—3000 abonentów, potrzebujących codziennej gazety liberalnej. Wprawdzie spadek ten otworzył się już przed 9 miesiącami, kiedy *Nowiny* oświadczyły, że postępowemi być nie chcą; kilkoletni wszakże nałóg widział ciągle dawną duszę, pokutującą w ich — tytule. Dziś niema nawet tytułu, znikł więc ostatni ślad dziennika wolnomyślnego. Czy nikt się nie pokusi o przyjęcie tego dziedzictwa? Jeżeli z własnego i cudzego doświadczenia, oraz ze skarżących się nam na brak postępowej gazety listów wnosić wolno, przy umiejętnej redakcyi i odpowiednim zapasie pieniężnym mogłaby ona śmiało rozpiąć swój żagiel. Zapewnienie takie nikogo nie pobudzi, na to trzeba mieć zapał w piersi i chęć rozdmuchiwania tych iskierek niezależnej myśli, które u nas coraz liczniej w głowach się zapalają. Ale z tego prądu gazeta codzienna prędzej czy później się narodzi, ona powstać musi, jako wyraz konieczności, jako niezbędne przeciwstawienie owej literackiej maszynie Fabera, której kilkanaście klawiszów wybijają szereg mechanicznie powtarzanych słów.

Właściciel tego przyrządu, popisującego się obecnie w Warszawie, popełnia grubą omyłkę, twierdząc, że on go wynalazł. Bynajmniej. Maszynę mówiącą my wynaleźliśmy już dawno i ustawili w prasie, w której działa wybornie i nie wymaga naprawy. Wielka rzecz, zbudować instrument, wymawiający kilka oderwanych wyrazów; my mamy maszynę dziennikarską, która bez błędu wymawia całe zdania i wiąże je w okresy. Na przykład: „Wyrodna matka. Wczoraj przechodzącemu ulicą panu X. zakwiliło coś w kieszeni futra. Prawdopodobnie przed wystawą sklepową, wrzuciła mu je obokstojąca kobieta. Śledztwo w toku“. Albo: „Ksiądz jezuita Spitulis, jeszcze w r. 1745 wykazał, że chrabąszcze siadają na drzewach: a dzisiejszym mędrkom zdaje się, że oni dopiero odkryli rośliny, żywiące się owadami“. Albo: „Wczoraj zakończyła doczesny żywot hrabina Korkowska z Dziurkowskich. Była to matrona zacna, prawdziwy wzór niewiasty polskiej“. Albo: „Powstanie na Kubie jest tylko wybuchem owego wulkanu, którego podziemna lawa sięga aż po Kamczatkę“. Albo: „Rakiem ludu jest żyd, co nas napa-

wa błogiem przekonaniem, że antysemityzm niema u nas gruntu". Podobne zdania powtarzają się u nas ze stereotypową dokładnością. Przeciętny zaś dziennik warszawski wygląda tak: *Norddeutsche Allg. Zeitung* pisze co następuje; na to odpowiada *Koelnische Zeitung* co następuje, *Germania* zaś twierdzi, co następuje, *Prawił. Wiestnik* ogłasza co następuje, *Kaliszanin* donosi co następuje, *Gazeta Kielecka* wtrąca, co następuje itd. Czy to nie pyszna machina mówiąca? lub co najmniej pisząca? Panie Faber, niech nam pan sławy wynalazku nie odbiera!

Jeśli wszakże powstanie dziennik postępowy, niech się zlituje nad sobą samym i nie wybiera tytułu: *co następuje*. Tytuł ten bowiem faktycznie należy się wielu naszym gazetom konserwatywnym, powtarza się zaś w ich tekście tak często, że ile razy spotkam owe nieśmiertelne wyrazy, uczuwam rozpacz potępionego, któremu co minutę spada na nos kropla wody. Dość powiedzieć, że od czasu jak literatura ma nieszczęście mnie tolerować, nie zbogaciłem jej ani jednem: *co następuje*. Wierzę, że samo pióro cofnęłoby mi się przed tem strasznem wyrażeniem. Wolę *berychty*, *ankiety*, *obesłane* wystawy, *laborowanie* i tym podobne nowe nabytki językowe, niż owo polskie: *co następuje*.

Ale wracam do maszyny. Przed kilku tygodniami ogłosiła ona, że pewien urzędnik (polak) pewnej instytucyi rządowej, znikł bez wieści, powiększywszy liczbę „naszych znanych." Rzeczywiście zaś: najuczciwszy człowiek, dotknięty ciężką chorobą, w przystępie gorączki, siadł nieprzytomny do wagonu i zatrzymany na jednej ze stacyi, przywieziony został przez kolegę do Warszawy a dotąd jeszcze pozostaje w stanie groźnym. Że uciekł, aż trzy pisma dowiedziały się i spotwarzyły go; że był uczciwym i chorym, że przeniewierstwa nie popełnił, żadne nie słyszało i nie poczuło obowiązku zmycia własnego błota, którem obryzgano niewinnego człowieka, bez względu na to, że ono raziło go gromem i przyczyniło się do rozstroju umysłowego.

Ktoby zważał na takie drobiazgi! Podobną zabawkę zrobiono sobie z pewną panną po ucieczce Rembertowskiego (którego jedno z pism, szczycące się dotąd jego współpracownictwem, chce ustąpić „pozytywistom"). Ponieważ rabuś cudzych kieszeni *rozmawiał* na balu z tą panną, więc ogłoszono, że stała się wspólniczką jego występku i towarzyszką ucieczki. Dzięki owej pogłosce dom niewinnie posądzonej kobiety musiał uledz rewizyi. Nazywa się to donuncyacyą? czy tylko „pomyłką reportera?" Nie, tylko pomyłką reporterską, a dzienniczek okaże najwyższą wspaniałomyślność, jeśli ją sprostuje. Bo czasem nawet sprostować nie chce — niema miejsca — lub chęci zawstydzania swoich informacyj. Że tam ktoś z tego powodu pocierpi i wypłacze się — to mniejsza: twarz nie żelazo, łzy na niej rdzy nie zostawiają. Powtórzywszy za innymi ową wieść w zeszłym tygodniu, wyznałem, „że nie mogę wyobrazić sobie serca tej kobiety." Na szczęście okazało się, że to serce stworzyła reporterya. Niechże ono w niej bije...

Przewiduję niedaleką, radosną przyszłość, w której pojawiać się będą następujące wezwania: ja niżej podpisany komitet potrzebuję kamizelki, ogłaszam więc na zrobienie jej konkurs z nagrodą rs. 4. Utwory nadsyłać proszę do mojego mieszkania przed 15 kwietnia, gdyż wiosna się zbliża." Literatura już rozpoczęła tym sposobem sprawiać sobie spódnice. Jakaś gazeta chce mieć fejleton, o którymby inne pisma mówiły, zanim się pojawi, więc... ogłasza konkurs. Handlową sprężyną tego pomysłu jest reklama, psychologiczną — znaczniejszej wartości banknot. Redakcya sądzi, że ukazawszy go zdala, wzbudzi w piersiach literatów natchnienie, które bez tej przynęty by nie wytrysło. I rzecz dziwna — nie myli się. Wywołuje ona tarcie się literackich śledzi, które pozostawiają w jej zatoce masę ikry. Nic nie mam przeciwko temu, tylko niech mi nikt nie mówi, że w naszym piśmienniczym gaju żyją słowiki, które śpiewają z potrzeby a nie wyrachowania. A nawet dla wypróbowania bezinteresowności słowików, pójdę w maju do Łazienek i pokażę im sturublówkę, jako nagrodę za najpiękniejszy tryl; kto wie, czy one nie rzucą się do konkursu i nie napełnią parku takim śpiewem, jakiego natura jeszcze nigdy nie słyszała.

Fejletony i pieśni mamy zapewnione, ale kto nam postawi młyn? Zewsząd odzywają się narzekania, że w całym Królestwie Polskiem trudno znaleźć specyalistę, któryby nakreślił plan odpowiedniego warunkom miejscowym młyna i przeprowadził jego budowę. Są chętni, ale zarazem tak nieszczęśliwi, że albo woda kół ich dzieła poruszać nie chce, albo je z sobą unosi. Dopiero kosztowny czarnoksiężnik, sprowadzony z Niemiec lub Francyi, umie sobie jakoś z nieposłusznym żywiołem poradzić. Otóż czyby nie należało wyznaczyć konkursu na budowniczego młynów? Doprawdy byłby to lepszy nabytek, niż najdowcipniejszy fejleton. Należałoby to uczynić dla samego ukojenia serc, zranionych wyzyskiwaniem nas przez cudzoziemców. Dziś bowiem trzeba tak hamletować: albo niemiec wystawi mi młyn i dostanę cięgi za niepopieranie żywiołu miejscowego, albo nie będę miał młyna. *Hic salta, hic Rhodus*. Niektórzy postawieni między niepatryotyzmem a młynem, wybierają młyn, ale nie każdy ma odwagę (w kieszeni) na sprowadzanie sobie drogiego niemca lub francuza.

Klaśnijmy w rece: zawiązała się — jak donosi *Kuryer Codzienny* — spółka artystyczno-przemysłowa, która „chce nas zalać portretami (czy obrazami?) wykonanymi według fotograficznych kartek." Wyrób to w Europie znany i chętnie nabywany, gdyż ludziom mniej zamożnym zastępuje malowidła olejne. Ale jakże się nazywa ta dzielna spółka? *Societé des photominiaturiste français*. Baaa! Niestety, historya budowania młynów! Trudno! My jesteśmy tak zajęci sporem, kto wyrabia lepszy patryotyzm i słuszniej reprezentuje naród, że o fotominiaturach myśleć nie możemy. Niech tam je sobie fabrykują cudzoziemcy. Niech... Darujcie przerwać muszę.

W tej chwili dowiaduję się, że redaktor *Ateneum* stracił biedny dziecko—na dyfteryt. Straszna epidemia więc znowu u nas pojawiła się, mimo że w Kuryerach nie czytamy żadnych ostrzeżeń. Ile serc zadrga niepokojem przy tem doniesieniu, ten tylko wie, kto ma dzieci, albo kto ich nie ma do stracenia. Ach, ślepa, okrutna naturo, gdybyś ty miała czucie...

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Filozofia Jacentowej. — Święty Marek i proboszcz nadwiślański. — Jedenaste przykazanie orszymowskie. — Frasunek zacnego obywatelstwa i jego ukojenie przez pana Plewakę. — Jego kadzidło i olejek. — *Liczba i siła* naszej inteligencyi. — Moja rozmowa z *liczbą* i źródło mego wstrętu do parcelacyi. — Kijewlanin i jego utytułowany pomocnik. — Kaligrafia Franklina i moja. — Zgwałcenie dwóch tradycyj.

„Bo to, proszę pana, ludzie są *rozmaite: jensze* ludzie, to są *jensze*, a *jensze*, to znowuż *cale jensze*." Tak filozofowała pani Jacentowa, zamiatając mój pokoik. Przekonałem się wkrótce, że miała słuszność. Święty Marek ewangielista np. był człowiekiem *jenszym*, a proboszcz parafii orszymowskiej jest „znowuż cale jenszy." Uczeń Chrystusa, powtarzając słowa swego mistrza, powiedział: „Sabbat dla człowieka uczyniony, nie człowiek dla sabbatu. Syn człowieczy jest panem sabbatu." Tymczasem zacny pasterz z nad Wisły stawiąc swym owieczkom za wzór bezduszną formalistykę judaizmu, nie pozwala im ani odbierać w niedzielę pieniędzy za pracę tygodniową, ani pójść do miasteczka po kwartę soli, ani nawet zabawić się gwarniej. Szczęście, że nasze Wojtki nie używają chustek do nosa, w przeciwnym razie odświętny strój chłopa byłby oszpecony. Zastanów się, proboszczu, że pobożne rozmyślania o dziesięcinach i „dobrowolnych" ofiarach nie wyczerpują całej działalności twoich owieczek. Pracują one ciężko i na podatki i na dobrodzieja i na siebie, pozwól więc im przynajmniej nie tracić drogiego czasu na obrachunek i zakupy niezbędnych rzeczy. Nie ma w tem nic złego. Prędzej zgodziłbym się z tobą, że wszelka *taksa* jest wymysłem dyabła (czego zresztą dowodzi nienaszе brzmienie tego słowa), że za śluby i pogrzeby trzeba brać od średnio-zamożnych chłopów przynajmniej z pięć a od bogatszych z dziesięć razy więcej, niż chcą szatani, tj. taksatorowie. Przyznam również chętnie wraz z tobą, że grzechem jest modlić się w niedzielę w obcej parafii, gdyż przeszkadza to nie tylko „wspólności modłów proboszcza i parafian," ale zakłóca nadto niewinną wesołość pasterza i odzwyczaja go od szanowania darów bożych, które niegodni odstępcy składają na *cudzych* ołtarzach. Nie wiem, może dodadzą do dekalogu jedenaste przykazanie *orszymowskie* „o modleniu się we własnej parafii," to jednak pewna, że domorosły nasz Mojżesz wysłał takowe pod ścisłym adresem nietylko „poczciwych kmiotków," ale i „zacnego obywatelstwa." Temu ostatniemu zarówno jak pierwszym za niewypełnienie woli pasterza grozi „odmowa posług kościelnych za życia i po śmierci." Groźba ta nie zostanie pewno wykonaną ze względu na wrażliwość serca i kieszeni plebana, tymczasem jednak „zacne obywatelstwo" frasuje się nie pomału.

Pocieszcie się dobre dusze! Nie wszyscy chcą mieć z was tylko pokorne baranki i owieczki. Oto p. Plewako z *Gaz. Rolniczej* zobaczył w waszych głowach *liczbę* i *siłę* naszej inteligencyi... Co do liczby, to określiłbym ją dość ściśle, gdybym był zwolennikiem szukania białych ziarnek w korcu szarego maku; co zaś do siły, to wiem już dzisiaj, co o niej trzymać: ona to wspiera naszą prasę peryodyczną i to tak bezinteresownie, że, nie wertując gazet, czytacie tylko ciekawe artykuły p. t. „ceny zboża." Ale najlepszego mniemania o waszej *sile* jest sam p. Plewako, który pali wam tak ciężkie kadzidło, że od nich najsilniejsi mogą dostać zawrotu głowy. Za kadzidłem idzie w ślad wonny olejek, w którym p. Plewako rozpuścił dla was słodkie pochlebstwo: wyobraźcie sobie, że wyście się zawsze kierowali dobrem społecznem i że nawet marnotrawstwo wasze może się starać o order „wyższej polityki." Wasz adorator, jak owa dziewica biblijna, wie dobrze, iż ubogich chłopków zawsze mieć będziemy, a was — „siłę i liczbę" — nie zawsze, dla tego też uszy wasze smaruje on olejkiem i wyciera obfitą grzywą, którą nastroszył w kierunku zwolenników parcelacyi. Nie dajcie się uwodzić pozorom. Wonny olejek wysączył p. Plewako z własnej głowy i nie zostawił w niej tego specyału tyle, aby zrozumieć, że racyonalnie uorganizowana parcelacya połączy w sobie bogactwo środków wielkiego gospodarstwa z pierwiastkiem dbałości o własne dobro i że w ten sposób odniesie tryumfnad *parobczaną* formą kultury rolnej.

Powiedziałbym jeszcze słów kilka o parcelacyi, ale obawiam się *liczby* i *siły*; oba-

wiam się nadewszystko czarnych podejrzeń. Niedawno temu, bawiąc na wsi, rozmawiałem o tej kwestyi z jakąś „liczbą“— o ile pamiętam, było to zero. Oponent mój, nie wysłuchawszy do końca mojej argumentów, zawołał w uniesieniu:

— Panie, czy pan wiesz, kto pan jesteś?

— Myślałem zawsze, że wiem, ale jakże się panu dobrodziejowi zdaje?

„Inteligencya“ trwożnie obejrzała się po pokoju i, przystąpiwszy do mnie, szepnęła mi na ucho:

— So-cy-ja-li-sta!..

— Brr... cóż to takiego?

— Jakto, pan nie wiesz? to, panie, jest to samo, co dawniejsi farmazoni.

— A rozumiem!

Odtąd nie lubię mówić o parcelacyi.

Kijewlanin podczas ostatnich kontraktów kijowskich podjął się interpretacyi prawa grudniowego (o kupowaniu przez polaków ziemi w guberniach południowo-zachodnich) i uzupełnił je w ten sposób, że zakaz kupowania stosuje się nietylko do roli, ale i do rozmaitych akcyj fabrycznych i papierów giełdowych. Można sobie wyobrazić, jak ujemnie wpłynęła podobna bajka na ruchliwość tranzakcyj pieniężnych podczas kontraktów. Czy jakieś zmiany na giełdzie były pożądanemi dla bezinteresownej redakcyi *Kijewlanina* — nie wiem; te jednak pewna, iż rzucają one pewne światło na istotę jego zasad politycznych. Wszak Frydryk Wielki dla dokonania największych przewrotów politycznych miał potrzebować tylko pieniędzy, pieniędzy i pieniędzy.

Kaczka dziennikarska *Kijewlanina* dowodzi tylko jego... żarliwości, ale któż nam winien, że lada intrygant wywołuje wśród nas popłoch i pozbawia rozumu. Toć można było — bodaj w drodze sądowej — zmusić gorliwą redakcyę do odwołania szkodliwej wieści, albo po prostu należało postarać się o wydrukowanie i rozlepienie chociażby na rogach ulic jakiejś stosownej reklamacyi. Dzielnym sprzymierzeńcem naszego przyjaciela—*Kijewlanina* — był na tych samych kontraktach jakiś hrabia, utytułowany plenipotent jakiejś hrabiny.

Nie zadawalając się niezależnem od niego ograniczeniem praw swoich bliźnich, przygotował on dla biednych dzierżawców dostojnej pani podarunki kontraktowe w postaci szeregu umów dzierżawnych, których przyjęcie równało się podpisywaniu cyrografów. Biedacy, nie mając się gdzie podziać, przyjmowali ciężkie warunki, których niedotrzymanie oddaje ich na łaskę i niełaskę hrabiego. Oto np. jeden z najmilszych kwiatków hrabiowskiego bukietu. Dzierżawca za każdy dzień pobytu swego w majątku po wypowiedzeniu mu dzierżawy płacić ma 50 rubli do kasy dziedziczki. Jeżeli więc np. wskutek choroby żony lub dziecka nie wyprowadzi się w przeciągu trzech tygodni, to łatwo zrozumieć, że dzierżawę będzie musiał opuścić o kiju żebraczym. *Mais, mon cher comte!* Jeżeli kiedykolwiek zapragniesz łaskawie szkalować postępowców, lub raczysz rozczulać się nad tradycyą naszych przodków, to przypomnij sobie, że pierwsi nikogo ze skóry nie obdzierają i że ojcowie twoi lepszym, niż ty, walczyli orężem.

Dobrowolnego obdzierania ze skóry dokonywają na sobie teraz podolanie, sprzedając anglikom w dalszym ciągu swoje fosforany. Benjamin Franklin, chcąc przekonać swych braci o użyteczności nawozów sztucznych, kazał tłuczonym gipsem wypisać na roli te słowa: „Tu użyzniono gipsem.“ Zboże zasiane na owem miejscu wyróżniało się od otaczającego ciemniejszą barwą i bujniejszym kłosem, dając w ten sposób żywe świadectwo prawdzie. Gdybym był podolskim Franklinem, kazałbym panom podolanom wypisywać codziennie, ale nie naroli i nie gipsem: „Nie sprzedawaj fosforanów!“ Możeby przez taką kaligrafię bujniejsze kłosy rozwagi urosły w ich głowach.

Na zakończenie moim ukochanym *prowincyałom* i *prowincyałkom* muszę donieść o bolesnem pogwałceniu aż dwóch naraz „najdroższych tradycyj.“

Jakieś grono młodzieży pozwoliło sobie zgwałcić tradycyę postu i zabawiło się wesoło w sobotę przed samą kwietnią niedzielą. Donosi o tem *Kuryer Warszawski*, który przytem nie omieszkał skłamać, mówiąc, że zabawa odbyła się w wielkim tygodniu.

Drugim bolesnym faktem jest, iż jakieś pismo, nie czując w sobie zapewne dość sił do przechowania swojej odrębności finansowej — zgwałciło naszą tradycyę święcenia niedzieli i, nie zadawalając się „podwójnem“ wydaniem, zaczęło wychodzić w dnie poświęcone służbie bożej.

Wiadomość tę zaczerpnąłem również z *Kuryera Warszawskiego*.

Co by z nim zrobił proboszcz orszymowski?

Maryan Bohusz.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 4 kwietnia.

Melancholijny nastrój dzienników niemieckich. — Szkoła czeska w Wiedniu. — Sprawozdania o rozruchach paryskich. — Reforma nauczania. — Niezadowolenie konserwatystów. — Bunt prasy reakcyjnej. — Przepaść pomiędzy Irlandyą i Anglią. — Groźby fenianów. — Organizacya rewolucyjna w Hiszpanii.

Z powodu przytarcia rogów germanofilskiej bucie przez rząd austryacki, w dziennikach niemieckich, zwłaszcza wiedeńskich zapanował w ostatnich czasach wielce melancholijny nastrój. Ton ich jest tak żałosny, iż przebiegając ich szpalty, zdawałoby się, że żywioł niemiecki w Austryi oddany został zupełnie na pastwę słowian, że jedność państwa zniweczona, konstytucya zagrożona, wszelkie życzenia federalistów i autonomistów całkowicie spełnione i że monarchia chwieje się przez to w swych posadach. Tymczasem monarchia stoi jak stała, żywioł niemiecki ze swego stanowiska przeważnego niewiele utracił i bardzo jeszcze daleko tam do wymierzenia pełnej sprawiedliwości wszystkim innym narodowościom, a dla spełnienia życzeń federalistów i autonomistów nie zrobiono kroku naprzód. Gdyby niemieckie organy centralistycznej lewicy szczeremi być chciały, musiałyby przyznać, że nie chodzi im w gruncie rzeczy o niemieckość, ani nawet o konstytucyonalizm, ale po prostu o władzę i korzyści z niej płynące; musiałyby przyznać, że nie dbają o utrzymanie życia niemieckiego w tych okolicach, gdzie przeważa ludność niemiecka, lecz o zabezpieczone przywilejami panowanie niemców nad słowianami.

Szkoła czeska na przedmieściu Favoriten w Wiedniu, której koncesya narobiła tyle wrzawy wśród niemców austryackich, nie jest jeszcze bliską swego urządzenia. Hr. Harrach usunął się od przyjętego nad nią protektoratu. Na cofnięcie się możnego protektora wpłynęło znacznie oświadczenie księdza Fürsta, który oznajmił, że żaden z duchownych jego parafii nie może wykładać nauki religii w języku czeskim i że wogóle uważa założenie tej szkoły za niepotrzebne. Patryoci czescy mimo tych przeszkód postanowili przedsięwzięcie doprowadzić do skutku.

Według śledztwa przeprowadzonego i sprawozdań szczegółowych o rozruchach paryskich liczba anarchistów czynnych w zaburzeniu wynosiła zaledwie niecałe półtora tysiąca. Fakt ten wystarcza do sprowadzenia całego ostatniego ruchu rewolucyjnego do właściwej miary. Stronnictwo wsteczne widzi teraz, że jego pobożne życzenia i zamiary przewrotu były zamkami na lodzie. Nawet zuchwały *Figaro* przyznaje, że rzeczpospolitę nie tak łatwo obalić, jakby się to wielu niecierpliwym zdawało. Gdyby książęta orleańscy, jak od nich żądano, wsiedli na koń, musieliby przedewszystkiem, jako sztab główny bez żołnierzy, walczyć z zimną mas obojętnością. Konserwatyści dzisiaj mimo najściślejszej solidarności stanowią bardzo szczupłą mniejszość.

Zachody i starania rzeczypospolitej francuskiej około reformy i rozpowszechnienia oświaty narodowej zaczynają przynosić już błogie owoce. Bezpłatność i obowiązkowość nauczania początkowego stanie się we Francyi wkrótce faktem spełnionym. Nowe zakłady naukowe dla dziewcząt wyrwały kobietę z rąk klerykałów, a przez to dalszy normalny rozwój społeczeństwa został zapewniony. To też ultramontanie i wstecznicy nie przestają miotać klątw przeciw Juliuszowi Ferremu i Pawłowi Bertowi, którzy poświęcili swą dzielną pracę sprawie oświaty narodowej. Niedawno dzienniki paryskie powtarzały list senatora Bertelota, który zwracał uwagę na niedostateczność we Francyi wyższych zakładów naukowych. P. Bertelot nie bez zasady wyraża nadzieję, że obecny rząd republikański i w tym kierunku inaczej sobie poczynać będzie, niż poprzednie. Rządy bowiem napoleońskie z zasady wrogie były badaniom swobodnym i owemu umysłowemu i moralnemu rozwojowi społeczeństwa, który jest rezultatem wykształcenia uniwersyteckiego. Obecny rząd przeciwnie potrzebuje bardzo sam we własnym interesie owego rozwoju i podniesienia narodu, tym bowiem sposobem najlepiej zabezpieczy się społeczeństwo od rozrostu w niem wstecznictwa i despotyzmu.

Wogóle w obozie konserwatywnym we Francyi panuje z powodu ostatnich jego niepowodzeń wielkie przygnębienie i zamęt, a natomiast w kołach republikańskich i postępowych radują się wszędzie, że energiczne wystąpienie ministeryum Ferrego wystarczyło nietylko do uspokojenia zwolenników sztandaru czerwonego, ale zarazem przepędziło czarne widma reakcyi. Świeżo kilkadziesiąt dzienników prowincyonalnych wypowiedziało posłuszeństwo swojemu „roy;“ domagają się one ustanowienia regencyi księcia d' Aumale, który posiada dużo pieniędzy; a pieniędzy, przedewszystkiem pieniędzy, potrzebuje tak zwana „Unia konserwatywna,“ której organizacyę tak szumnie zapowiadano.

Ostatnie zamachy dynamitowe wykopały głęboką przepaść między Irlandyą a gabinetem angielskim. Przerażające odkrycia procesu dublińskiego, wybuchy dynamitowe, dalsze groźby fenienów, że parlament angielski musi być wysadzony w powietrze, złowrogi plan spalenia we wszystkich portach angielskich warsztatów okrętowych, magazynów rządowych i składów handlowych — wszystko to świadczy o groźnym charakterze walki rozpoczętej przez żywioły anarchiczne.

W równie krytycznem położeniu znajduje cię ciągle Hiszpania wobec nieustającej agitacyi anarchicznej. Według sprawozdań urzędowych władz prowincyonalnych związek „Czarnej ręki“ jest rozgałęziony tak szeroko, że na razie trudno sobie zdać sprawę z całej jego działalności. Stowarzyszenie to organizowało się bardzo tajemniczo i w skutek nieświadomości władz zdołało zapuścić korzenie bardzo głęboko; okryło ono gęstą siecią kół i kółek swych cały półwysep pirenejski wraz z Portugalią, tak, że wszystkie władze legalne spotkały się nagle oko w oko z równoległą organizacyą rewolucyjną. Stowarzyszenie pomienione ogarnęło tak

wszystkie warstwy społeczne, że trudno dziś powiedzieć kto rządzi Hiszpanią — jego przywódcy czy król Alfons.

S. C.

CUDZE GŁOSY.

Nowela szkolna w tem brzmieniu, w jakiem przyjęła ją Izba panów, wejdzie znowu wkrótce po świętach na porządek dzienny obrad wiedeńskiej Izby posłów. Tymczasem wre o nią zacięta walka na całej przestrzeni Przedlitawii. Spierają się nie tylko dwa naczelne stronnictwa Austryi, ale i pojedyncze ich odłamy. Żadna też może jeszcze sprawa od czasu powstania dzisiejszej większości parlamentarnej nie wykazała dowodniej, z jak różnorodnych żywiołów składa się stronnictwo rządowe. Sprawiła to nowela szkolna, która nie tylko, że omal nie potargała więzów, dynamicznie spajających t. z. prawicę, ale wznieciła rozdwojenie w osobnych klubach. Uległ temu najwięcej klub czeski, z którego przeniósł się spór następnie do Pragi i na prowincyę, rozdmuchując antagonizm między staro a młodoczechami. Przeciw reakcyą wiejącej noweli stanęli oczywiście młodzi, w czem popiera ich bodaj czy nie większość czeskiego społeczeństwa, za nią oświadczają się starzy, łącznie z t. z. czeską szlachtą historyczną, niezdecydowaną jeszcze do dzisiaj zupełnie, czy ma być szczerze narodową, czy też niemiecką. I ci jednak nie czynią tego z przekonania, ale z obawy, aby sojusz prawicy nie poniósł szwanku. Oświadczono to wyraźnie w rezolucyi „Klubu (staro) czeskiego w Pradze,“ zaznaczono to nawet w „Katolicko-politycznem Towarzystwie dla królestwa czeskiego,“ na którem wśród licznie zgromadzonych książąt i hrabiów czeskich wiceprezes Towarzystwa, książe Jerzy Lobkowic w długiej, po czesku wypowiedzianej mowie rozstrząsał nowelę szkolną, która wyrosła w Czechach do sprawy pierwszorzędnej. Skreśliwszy jej dzieje, tak mówił dalej:

„Pytanie, jak mają czescy posłowie zachować się w tej sprawie? Zamierzone w noweli zmiany są tego rodzaju, że nie możemy za nią głosować. Posiada ona wielkie wady. Centralizacya ma trwać i nadal a nasze uprawnione żądania wcale nie będą zadowolone. Na to się wszyscy przecież godzimy, że według ducha konstytucyi, Rada państwa ma prawo ustanawiać tylko ogólne zarysy szkolnictwa ludowego, reszta powinna być zostawioną sejmom krajowym. Sprzeciwia się temu pojmowaniu rzeczy nowela; dlatego też klub posłów czeskich złoży odnośne swoje wyznanie wiary w uchwalonej już rezolucyi i nie odstąpi od jej przyjęcia. Ta rezolucya musi być wprzód przyjętą, zanim nowela, choćby tylko jako zmiana prowizoryczna, wejdzie w życie.

Czy posłowie czescy mają głosować za nowelą? Twierdzę, że to uczynią, chociaż, jeżeli będą głosowali, to z powodów nie w samej noweli leżących, ale *politycznych*. Jeżelibyśmy pragnęli noweli, to z gruntu innej.

Główną pobudką głosowania za nowelą jest okoliczność, że żądają tego konserwatywni posłowie niemieccy z krajów alpejskich, którzy postępują w zupełnem porozumieniu ze swymi wyborcami. Posłowie ci są najlepszymi naszymi sojusznikami i dopomogli nam do niejednego powodzenia. Winniśmy im spłacić dług, przy czem dodaję, że są to *niemcy*. Jest to okoliczność bardzo ważna, że mamy w Austryi niemców, którzy nie wzdragają się tworzyć ze słowianami większości...

Kto zna dobrze sytuacyę polityczną, musi uznać, że dzisiejszy system rządowy nie utrzymałby się ani chwili, gdyby nie miał bodaj części niemców po swej stronie. Nadzieje, jakie pokładamy w obecnym rządzie, rozwiałyby się zatem w mgłę, gdybyśmy odrzuceniem noweli zrazili do siebie niemców-autonomistów. Mam jednak pewną nadzieję, że takiemu obrotowi rzeczy zapobiegną nasi posłowie, w tej bowiem kwestyi mieści się zarazem cała sytuacya polityczna i tem to tłomaczy się zaciekły opór lewicy przeciw noweli. Niech to będzie dla nas nauką.

Że lewica jest przeciwną noweli, to pojmuję bardzo dobrze; ale dlaczego agitują przeciw niej także czesi, tego już nie rozumiem zgoła. Jestem przekonany, że ten, co doradza głosowanie przeciw, albo nie zna politycznego stanu rzeczy, albo swawolnie oddaje naród czeski na łup największym jego nieprzyjaciołom“.

Węgierskie rządy. Mimo ucisku narodowego i madyaryzacyi nie ustają słowacy wcale w boju o przyrodzone swoje prawa. Cóż kiedy dzisiaj zaledwie im już tylko narzekać wolno... Żalą się też na ten ucisk wszystkie ich pisemka, niezliczonych dostarczając faktów, najdowodniej świadczących o słuszności zażaleń.

Setnej ich części wyliczenie byłoby już zbytniem tygodnika naszego obciążeniem. Dla zaznajomienia czytelników z teraźniejszem położeniem narodowości słowackiej na Węgrzech starczy wyjątek z *Narodnich Nowin*, charakteryzujący je w ogólnych rysach.

„Ze wszystkich instytucyj słowackich — pisze ten dziennik — wygnano słowackie słowo a z niem i słowackiego ducha. Śmiesznem to prawdziwie a dla cudzoziemca zupełnie niezrozumiałem jest, że w czysto słowackiej stolicy (komitat — okręg) całe urzędowanie i załatwienie publicznych spraw obywa się bez języka słowackiego, że trzy milionowy naród nie posiada ani jednej średniej szkoły, ani jednej szkoły nauczycielskiej, że i do ludowych nawet szkół nasyłają mu *nauczycieli, którzy słowackich liter pisać nie umieją*, którzy w brutalny sposób z całym oświadczają cynizmem, że nie rozumieją języka swoich wychowańców. Czyjże rozum (chyba madyarski) pojąć zdoła i zrozumieć takie postępowanie, że właśnie nieznajomość słowaczczyzny jest *gradus ad parnassum*, pociąga za sobą pochwałę, odznaczenia i nagrody...

Stanowisko nasze jest wyjątkowe, postępowanie z nami niedorzeczne, nie mówiąc już o tem, że niesprawiedliwe. Stosunków takich niema między kaframi. Zapomnieni, opuszczeni, zdeptani — umieramy duchowo, tracimy siły swoje. Do bydląt poniżono ludzkie istoty. Publicznie nie wolno już rozbrzmiewać językowi naszemu: uczyć go nie trzeba, państwo bowiem samo do tego dąży, aby zaniemiał lud słowacki jaknajrychlej, aby ojczysta mowa nasza zastąpiona została językiem obcym.

Dowody są zbyteczne, podajemy je codziennie, każdy zresztą z rodaków naszych żyje przecież w Węgrzech“...

Sens moralny z prawdziwej czy nieprawdziwej — rezultat śledztwa niewiadomy jeszcze — historyi pp. Kamińskiego i Wolskiego wyciąga *Nowa Reforma* taki:

„Dramat, którego ofiarą padli dwaj nasi posłowie, nasuwa pytanie: czy w poselstwie polskiem w Wiedniu powinni zasiadać posłowie, interesowani w wielkich przedsiębiorstwach, mających stosunki z rządem?

Według kosztorysu rządowego budowa kolei podkarpackiej miała kosztować 21 milionów. Ale ile ona rzeczywiście kosztuje, czyli, jakie mogą być *realne* wydatki na samą budowę? Wiadomo, że przeszło 600,000 ulotniło się już na wcale *nierealne* wydatki... Niezaprzeczona dalej nigdzie pogłoska twierdzi, że baron Schwarz wycofał się już ze spółki budowy, zrzekając się zysków za sumę dwóch milionów. Nie przesadzimy więc, jeżeli zysk pozostałych wspólników obliczymy na trzy miliony a ogół wszystkich nierealnych wydatków na 1 milionów co najmniej. Jestto pieniądz przez skarb państwa wprost zmarnowany, pieniądz przelany do kieszeni generalnego przedsiębiorstwa, a pochodzący z ciężko zapracowanego grosza opodatkowanych. Gdyby rząd we własnym zarządzie budował tę kolej, cały ów kapitał byłby zaoszczędzony.

Temu zmarnowaniu kilku milionów przeciwstawiamy fakt, iż gdy okolica Gorlic, w której kwitnie przemysł naftowy, dopominała się, aby kolej transwersalna szła na Gorlice, — to jedynym powodem, dla którego odmówiono temu żądaniu, było przypuszczalne zwiększenie wydatku o 500,000 złr. Weźże teraz czytelniku do rąk sprawozdanie sejmu naszego z r. 1882. Znajdziesz tam przemówienie posła Jana hr. Stadnickiego przeciw tej trasie, jakiej wymagał interes krajowego przemysłu naftowego. Poseł Stadnicki jest członkiem rady zawiadowczej Länderbanku, — zaś Länderbank jest z generalnym przedsiębiorstwem budowy kolei podkarpackiej najściślej związany!...

Pytamy więc wobec tego: Jakie jest w Kole stanowisko wszystkich tych posłów, których łączy z Länderbankiem jakikolwiek interes? Czy w tych stosunkach można mówić o zupełnej bezinteresowności posłów, która jest główną podstawą zaufania publicznego; pierwszym warunkiem znaczenia i powagi Koła w kraju i na zewnątrz, najważniejszą dla ludności rękojmią, że jej i *tylko* jej interesy będą przez posłów bronione?

Jest powszechnie wiadomem, że poseł Kozłowski ma zostać prezesem zarządu kolei podkarpackiej. Któż może mieć co przeciw temu, że stanowisko to zajmie polak? Ale niech ten, kto je obejmuje, złoży wpierw mandat, — inaczej nie uchroni się od podejrzeń. Stanowisko posłów, związanych z wielkiemi finansowemi instytucyami, jest zawsze fałszywem. Może mówią przeciw nim tylko pozory, ale i te pozory trzeba usunąć.

Powtarzamy więc raz jeszcze: posłowie, związani z Länderbankiem i innymi, od rządu wprost, czy pośrednio zawisłymi i w stosunkach z nim pozostającymi zakładami, powinni złożyć mandaty w ręce swoich wyborców“.

O PRAWDĘ.

(Odpowiedź p. Kontkiewiczowi).

1. W artykule moim o „Zjeździe górników“ powstawałem głównie przeciw *podwyższaniu* cła już istniejącego, chociaż, przyznaję chętnie, w kwestyach przemysłu jestem gorętszym zwolennikiem naturalnego rozwoju, niż sztucznej ochrony celnej. Przykład Ameryki i południowych gubernij Cesarstwa nie jest dość przekonywającym. Jeżeli krępowanie powijakiem niemowląt ma jeszcze swoich zwolenników, to już nikt chyba nie oświadczy się za spowijaniem dzieci kilkoletnich. Przemysł nasz węglowy jest wobec zagranicy takiem kilkoletniem dziecięciem. Środki nasze techniczne i warunki komunikacyi są dziś o wiele lepsze, niż przed laty kilkunastu; możemy więc i powinniśmy walczyć inaczej. Racyonalny rozwój będzie bardziej powolny—zgoda, ale trwalszy. Podwyższenie cła wywoła bez wątpienia *jednorazowy* przyrost cen produktu. Jeżeli zaś społeczeństwo nasze ma płacić jakiś haracz, to korzystniejszem jest dla nas wypłacenie np. miljona rubli w ciągu lat *dziesięciu*, niż półmiljona w ciągu *jednego* roku, nawet bez względu na to, że w pierwszym wypadku ruble nasze powędrują na zachód, w drugim zaś na *północ*.

Twierdzenie, iż nowe opłaty celne nie wpłyną na cenę węgla, twierdzenie takie trąci liryzmem. Czy w południowo zachodnich guberniach Cesarstwa cukier nie zdrożał przez oclenie odnośnego produktu zagranicy — o tem nie wiem; natomiast twierdzić możemy wszyscy z całą pewnością, że po zniesieniu cła, wyrób ten byłby o wiele tańszym. Rozumie się, że wtedy ogół akcyonaryuszów nie mógłby myśleć o 40% dywidendy (ostatnie kontrakty kijowskie). Pomyślne rozwiązanie kwestyj wymaga przedewszystkiem rozbudzenia opinii w należytym kierunku i podniecenia energii naszych kapitalistów, hypnotyzowanych dzisiaj przez cła ochronne.

2. Zdziwienie moje co do uwzględnienia przez zjazd interesów towarzystwa gazowego i innych—posiada w sobie odcień lekkiej ironii, której nie zrozumiał szanowny oponent. Niechże więc zrozumie teraz, iż powstając na egoistyczny charakter uchwał przemysłowców, nie mogłem unosić się nad tem, że nie obłożyli cłem towaru, którego sami... nie produkują.

3. Nigdzie w całym artykule moim nie twierdziłem, że Niemcy pokonywają nas dzisiaj *ogromną produkcyą* wyrobów żelaznych, powiedziałem tylko, że oclenie żelaza nie na wiele się przyda, gdyż zagranica szukać będzie ratunku w łączeniu *olbrzymich kapitałów*, na co nas niestać. Powiem więcej. Nowe warunki produkcyi pozwolą niemcom znakomicie obniżyć płacę roboczą, co zapewne nie pozostanie bez wpływu na naszą z nimi konkurencyę.

4. Zamiast *produktów cynkowych* napisałem przez pomyłkę *rud cynkowych*. Istota rzeczy zmieniła się przez to o tyle, że w obu wypadkach będziemy mieli cynk droższy... W *prawdziwej* redakcyi projektu z większą jaskrawością zarysowuje się egoizm wnioskodawcy, któremu szło przedewszystkiem o zabezpieczenie swojej fabrykacyi. Przepraszam go teraz za to, że przez omyłkę wnioskowi jego chciałem nadać znaczenie bardziej... humanitarne.

5. Nie tylko wiedziałem o istnieniu u nas kopalń galmanu, ale przed trzema laty zwiedzałem je osobiście pod przewodnictwem prof. Trejdosiewicza. Powtarzając zaś zarzuty jednego z komisarzy rządowych *o braku cynku*, miałem razem z nim na myśli nie Królestwo Polskie, ale całe państwo. Potrzeb tego ostatniego nie zaspokoi bowiem nawet cały obszar pokładów „od Olkusza na zachód.” Zresztą osuszania kopalń Olkuskich nie ukończono jeszcze.

6. Według mego zdania „posądzenie stronników uchwały o zamianie przymusowego wywłaszczania” nie jest „obrażającem” właśnie dla tych „z głównych obrońców uchwały, którzy nie będąc sami właścicielami ziemskimi, działali z pewnością w interesie dobra ogólnego.“ Tacy bowiem, nie posiadając ziemi, nie mogą się obrażać za to, co się ściągało do jej szczęśliwych posiadaczy...

J. K. Potocki.

W SPRAWIE SPÓŁEK ROLNYCH.

Odbieramy list następujący:

Podniesiona w nr. 12 *Prawdy* przez p. S. B. myśl utworzenia w naszym kraju, zamiast spółek rolniczych miejscowych, stałych targów zbożowych w Warszawie, na podobieństwo istniejących już w Królewcu, Gdańsku i we Lwowie, z różnych względów u nas zastosować się nie da, a mianowicie:

1) Komunikacya nie pozwala przesyłać produktów w każdej porze roku; korzystamy tylko z chwili, gdy odstawa uskutecznić się daje.

2) Wytwarzanie kredytu do prowadzenia interesu handlowego na tak wielką skalę, w kraju ubogim w obrotowe kapitały i nieznającym jeszcze korzyści ze stowarzyszeń prywatnych, nie uzyska zgody i zaufania u producentów.

3) Znaczna odległość rynku targowego, a stąd trudność poznania stosunków handlowych, systematu operacyi i kontroli, wszystko to nie przemawia za centralnym rynkiem targowym, a przeciwnie za tworzeniem spółek rolniczych miejscowych w pewnych okolicach kraju, przy spławie większych rzek, drogach żelaznych, lub granicy położonych.

Targi zbożowe w Królewcu, Gdańskn a szczególniej we Lwowie nie zachęcają do naśladowania, a mianowicie ten ostatni nie rokuje długiej egzystencyi; tylko w krajach, gdzie komunikacye są doskonałe, gdzie każdy wie o cenach targowych i co na ich podwyższenie lub zniżenie wpłynąć może, gdzie kredyt łatwy i tani, centralne targi mają racyę bytu. U nas inaczej — odosobniony w wiejskiem zaciszu, oddalony od punktu handlowego, bez wiedzy, co się na świecie dzieje, co wpływa na ceny towaru produkowanego, bez dróg i komunikacyi — rolnik, tylko miejscowym, znanym i przez siebie wybranym osobistościom zaufa i produkt swój powierzy.

Tworzenie lokalnych spółek rolniczych może wpłynąć dodatnio na podniesienie rolnictwa w kraju, wyzwoli nas z uprzywilejowanego pośrednictwa wyzyskiwaczy, zmieni tryb stosunków rolniczych, przez wytworzenie taniego kredytu.

Do tych ognisk, w których zespolone będą znaczne partye zboża, wełny, drzewa, itd. zbiegać się będą sami kupcy krajowi i zagraniczni a przez współubieganie się wzajemne pozwolą łatwo otrzymać na miejscu ceny odpowiednie tym, jakie na rynku centralnym osiągnąćby można.

Kaz. Stamirowski.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Instytut rolniczo-leśny w Puławach, skutkiem zaburzeń studenckich, został z rozporządzenia władzy zamknięty. *Prawit. Wiestnik* donosząc o tem w obszernym komunikacie urzędowym, oznajmia jednocześnie, że: 54 studentów wydalono bez prawa wstępu do innych zakładów; 39 wydalono z pozbawieniem tegoż prawa w ciągu lat dwu; 36 z prawem wejścia do innego zakładu; 14 pozostawiono w Instytucie.

Teatr. Wielce utalentowany komik sceny warszawskiej, Adolf Ostrowski, obchodził 25-letni jubileusz, który wielbiciele artysty uczcili upominkiem.

— Tyleż lat wysłużyła p. Dowiakowska.

— P. Reszkie ma wystąpić kilkanaście razy w Warszawie na cele dobroczynne.

Bibliografia polska. Dr. J. Polak *Podręcznik leczniczy*, wskazówki leczenia domowego dla użytku dworów, gmin, nauczycieli, majstrów itd. Warszawa.

— J. H. Kallenbach. *Kilka słów o elegiach łacińskich Jana Kochanowskiego*, Kraków.

— S. Smolikowski *Filozofia wyzwolenia*, Warszawa (odbitka z *Bibl. Warsz.*).

— Czubek Jan *Lirycy greccy* (tłomaczenie).

— Duschak M. dr. (rabin krakowski) *Mittel gegen die falschen Blutbeschuldigungen*, Kraków.

Zmarli. J. Horain, znany literat w Krakowie.

— S. Sufczyński w Łuczycach.

— Dr. Stefan Kočewar, jeden z przewódców narodu słowieńskiego, w Calei (w dolnej Styryi) w 75 roku życia. Należał on do grona pierwszych budzicieli swego ludu, w ruchu literackim brał żywy udział i przyczynił się do założenia jedynego słowieńskiego dziennika *Slovenski Narod*, który redagowany jest w duchu postępowym.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. B. Z. Statystyka jest nauką zbyt młodą, ażeby zagadkę tę stanowczo rozstrzygnąć mogła. Porównanie przeciętnego wieku z epok oddalonych musi dawać rezultaty niepewne, gdyż z poprzednich mamy tylko wątpliwej ścisłości wzmianki historyczne. Przeciwko podwyższeniu się „średnich lat“ człowieka wystąpili z obfitymi dowodami Wappäus, Engel, Oesterlen, Oettingen i inni. Faktem pozostaje to tylko, że popęd samozachowawczy i środki przedłużenia życia wzrastają, ale także równolegle wzrastają czynniki i warunki, skracające wiek przeciętny (pijaństwo, choroby itp.). Jednocześnie wszakże znane są cyfry, przekonywające o postępie. Tak np. przez ciąg 100 lat (1771—1868) wiek średni we Francyi miał się podnieść o lat 12—13. Za szczegółowszy przykład z tego kraju może służyć następująca tablica (ułamki opuszczamy):

rok 1813—25	lat 31
„ 1825—30	„ 32
„ 1830—35	„ 33
„ 1835—40	„ 34
„ 1840—45	„ 35
„ 1845—65	„ 36

Sceptykowi. Nie.

P. M. D. w Karyłowcach. Wysłaliśmy po raz drugi.

P. J. P. w Grodnie. Książka i numery wysłane.

P. Gros. w Krakowie. Nie możemy.

OFIARY.

Na pomnik Mickiewicza. Z loteryjki dziecinnej rs. 5.

Na wpis dla biednych uczniów. Za pośrednictwem p. Id. K. z Mir. rs. 25.

Sprostowanie. Osoba dobrze poinformowana prostuje wzmiankę poprzedniego numeru objaśnieniem, że matka Lacroix nie była francuską, lecz polką (z domu Ludwika Bagniewska).

Ogłoszenia.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Марта 1883 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.